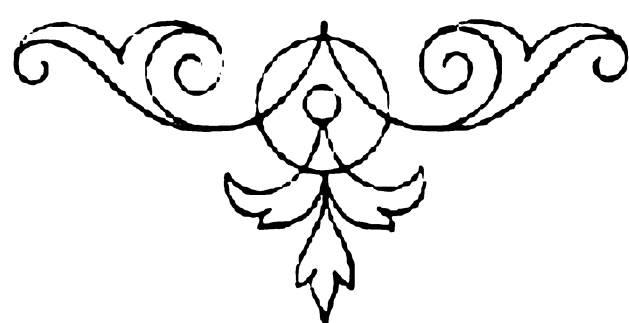


F. Morzycka i C. Niewiadomska.

Z RÓŻNYCH CHWIL.

OPOWIADANIA DZIEJOWE.



PETERSBURG.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO.

1901.

Los. 1006.

Дозволено цензурою, Варшава, 19 октября 1899 г.

BIBLIOTHECA
BN
MUSEUM
CWA

~ 1.462.248

Drukarnia Trenke i Fusnot, Maksymiljan. zaułek № 13

SPIS RZECZY.

1. Lat temu dziewięćset, przez Niewiadomską.	1
2. Na Skalce, p. Morzycką.	20
3. Trzy chwile z życia Mendoga, p. Niewiadomską. . . .	37
4. Wnuczka Kazimierza, według „Krzyżaków“ Sienkiewicza, p. Niewiadomską.	52
5. Chrzest Jagiełły, podług Szajnochy, p. N.	72
6. Bitwa pod Beresteczkiem, podług Kubali, p. N.. . . .	85
7. Turniej, podług Rzewuskiego, p. M.	108
8. Odwrót z pod Cecory, podług Niemcewicza, p. M. . . .	121
9. Oblężenie Zbaraża z Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem“, p. M..	140
10. Obrona Częstochowy z „Potopu“ Sienkiewicza, p. M.. .	154
11. Wzięcie Kamieńca z Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski“, p. M..	179
12. Imieniny Mickiewicza w Paryżu, podług Chmielowskiego i Małeckiego, p. N.	195



LAT TEMU DZIEWIĘĆSET.

Dziewięćset lat! Czy zdajemy sobie sprawę, jak to wielki, długi okres czasu? Ile pokoleń ludzkich w tym przeciągu przyszło na świat, dążyło do rozlicznych celów, ginęło, umierało? Zjawiały się nowe i przechodziły także, jak chwilowi goście. W księgach historyi zapisano setki wypadków wielkich i drobnych wydarzeń, klęski okropne i świetne tryumfy, wielkie odkrycia na ziemi i niebie. Zmieniały się narody, państwa, pokolenia, ale ludzkość dążyła wciąż naprzód, ku światłu i prawdzie, mimo błędów, burz, wojen, które piękną ziemię zmieniały w pola krwawe, kośćmi bielejące. Ludzkość dążyła naprzód, bo nikt nie powstrzyma pragnień ducha, co dąży do doskonałości, która jest jego źródłem.

Dziewięć wieków! A każdy nowe niósł wypadki i nowe zmiany: jeden światło wiary rozlewał na pogańskie, barbarzyńskie ludy; ten powoływał je do walki krwawej o grób Chrystusa;—ów otwierał nowe źródła prawd wielkich; tamten światy nowe odkrywał starym ludom Europy; — ten niósł niewolę, a tamten swobodę; ten błędy, ten pokutę, tamten drogi nowe, — każdy dar jakiś zostawił ludzkości i wspomnień kartę.

Cofnijmy się myślą przed te lat setki, przed te wieków 9. Wznieśmy się z chmurką jaką wędrującą wysoko po-nad ziemię, tak wysoko, aby jednym spojrzeniem objąć Europę. Czy ją poznamy? Co widzimy na niej? Jakie państwa i kraje, ludy, okolice? Czy te, co dzisiaj?

Ziemia taka sama, te same rzeki, góry i wybrzeża, też łąki, kwiaty, lasy, tylko więcej, więcej zajmują miejsca. Czernieją niekiedy na mil dziesiątki i setki, bez końca, olbrzymie, chłodne, stare, nieprzebyte puszcze! Wschód Europy osłoniły cały płaszczem swym grubym;—tylko nad rzekami ludzkie mrowiska skupiły się drobne, wstęgą wód połączone;—tylko tu i owdzie grody strzelają w górę wieżycami, nad Dnieprem, Wisłą.

Dalej na zachodzie państwo Niemieckie rozsiałło się mocno pośrodku lądu i chciwie wyciąga ramiona na wsze strony świata, aby dosięgnąć morza granicami, aby ogarnąć wszystko i pochłonąć. A dalej Francya w rozterkach, bezsilna, i państwo Rzymskie w ruinach, Italia łupem sąsiadów, w Konstantynopolu słabość i trwoga i walki daremne z barbarzyńskimi ludami północy; zgiełk, wrzawa, chciwość i intrygi, walki bez końca.

A u nas nad Wisłą?

Tutaj płaszcz lasów jeszcze nie podarty, ciemny, fałdzisty, ale nad rzekami już grody mocne, warowne zameczki i chat niemało i pola rozległe, zbożem złociste. A w grodach krzyż świeci i w słońcu błyszczy. Chrześcijańskie to ziemie już od pół wieku blisko. Nad Gopłem jeziorem rozsiadł się gród książęcy, obszerny, warowny, w murach drewnianych, chędogi i jasny. Zasobno tu, wygodnie i bezpiecznie także pod władzą księcia chrorego, co zasiadł na stolicy po ojcu roztroptym.

Niedawno rządzi, piąty rok dopiero, ale już skupił w swojej silnej dłoni wszystkie dzielnice i dzierży je mocno, a orlem okiem spogląda dokoła, i myślą waży wielkie przedsięwzięcia: tu morza,

sięga, tam do Wisły źródeł, na wschód i zachód. A w rękę miecz trzyma. Myślą i mieczem gdzie razem uderzy, nikt nie odeprze ciosu.

Dziś jednak dłoń spokojnie wypoczywa, na rękojeści wsparta i twarz monarchy jasna i pogodna. Gościa ma w domu. Gość to znamienity, biskup z krainy Czeskiej, Adalbertus. Kraj swój opuścił, ścigany, chce służyć Panu w ciszy i spokoju. Służyć mu całym sercem, wszystkimi siłami.

Na dworze Bolesława czas dłuższy już bawi,— naucza, opowiada prawdy świętej wiary, cnotą, przykładem, gorącemi słowy podnosi serca, wszczepia Boże przykazania. Z księciem też długie prowadzi rozmowy: Bolesław w Gnieźnie zatrzymać go pragnął u boku swego, przyjaźnią go darzył i zaufaniem, ale mąż pobożny innej zasługi pragnie, innej pracy: skarb mu przez Boga dany, światło prawdy, chce szerzyć dalej. Czyż to nie powinność chrześcijańskiego kapłana? Czy to nie głos Boży takie zadanie życia mu wskazuje? Resztę dni swoich chce poświęcić ludom, na które nie padł jeszcze promień łaski, chce nieść zbawienie pomiędzy poganą. Znać Pan sam go powołał na te trudy, i ducha mu rozpala coraz gorętszem pragnieniem i ser-

ce dręczy tęsknotą do czynu. Pójdzie za wolą Pana.

A gdzież piękniejsza praca i pilniejsza? Tysiące ludzi umiera codziennie bez imienia Chrystusa, bez krzyża zbawienia, nie słysząc słowa, które już lat tysiąc blisko, jak Chrystus kazał roznieść na świat cały. A rozkaz Jego dotąd niespełniony! Więc spieszyc trzeba.

Król słuchał, myśl ważył, opierać się nie śmiał woli biskupa. Skoro Bóg sam woła...

I myślą śmiałą szedł za apostołem w krainy sąsiednie. Gdy prawdy wiary jedną usuną granicę, wśród bratnich ludów, kto wie, czy nie łatwiej inne zapory usunąć się dadzą, by w silną całość złączyć części słabe... Boża w tem woła.

Więc też nie sprzeciwiał się słowem nawet świętemu gościowi, pomoc mu przyrzekł. Gdy stopnieją lody, słońce zaświeci jaśniejsze, cieplejsze, zbrojnych mu doda rycerzy i sługi, łodzie wygodne i cała wyprawa popłynie z rzeką na północ, ku morzu, do Prusów ziemi. Tam biskup nauczać będzie słowem miłości, a zastęp rycerzy powagi doda i siły tym słowom.

Daremnie kapłan przekonywał księcia, że słowo

Boże moc ma wszechpotężną, większą od miecza,—
Bolesław nie wątpił, ale ma takie w duszy prze-
konanie, że zbrojna pomoc nie wadzi nikomu. Mo-
że to Boskie natchnienie.

Tymczasem stopniały śniegi i spłynęły lody,
słońce jasne spojrzało z wysokiego nieba i król za-
sępił pogodne oblicze, gdyż biskup Wojciech zwle-
kać już nie chciał z podróżą.

Więc stań się wola Boża.

Wody Bałtyku od Wisły do Niemna omywały
kraj Prusów, — zielony łąkami bujnych pastwisk,
w niebo patrzący oczyma tysiąca jezior, wilgotny,
bagnisty, od morza piasku opasany wstęgą, dalej
tonący w cieniu borów czarnych, schronieniu zwie-
rza i ludzi.

Lud prosty, ubogi, żył tu nielicznie, skórąmi
odziany i lnem, w chacie niskiej, zakopanej w zie-
mi, bez okien, pełnej dymu,—żywność mu dawały
stada nieliczne, ryb wielka obfitość, leśne owoce.
Czczył słońce i światłość, ogień dobroczynny, święte
gaje i drzewa, łąki kwieciste na wiosnę, czyste i
chłodne wody świętych jezior i piorun groźny i
burzy potęgę. Czczył bóstwa swoje przez miłość lub
trwogę.

Zresztą wytrwały był na srogość zimy, ciesząc się jak dziecko do życia i słońca, gościnny dla przyjaciół, okrutny dla wroga.

Dzień był kwietniowy, poranek.

Na błękitnem niebie słońce mrugało złotemi rzęsami, zalewając świat blaskiem,—lasy, łąki i wody kąpały się w złocistych i ciepłych promieniach, żywiczne pąki zwolna rozchylały cienkie osłony i młode listki zmięte prostowały się, rosły, nabierały barwy,—tu i owdzie już biała czeremcha zdążyła okryć się wonnem kwieciem; — trawy lśniły rosą, kwiaty otwierały do słońca kielichy i piły światło i ciepło.

To wiosna,—któż jej nie czuje i któż się nie cieszy?

Wody wielkiej rzeki dumnie płynęły wśród brzegów zielonych, igrając lekką falą, mieniąc się od światła. Od pól, od lasów, od ziemi wilgotnej płynął ożywczy, świeży zapach wiosny. Piękny był ranek.

Nagle pośród ciszy pieśń popłynęła poważna i silna.

Bogarodzico, Dziewico, Bogiem sławiona Maryo!
Na rzece w oddali ukazały się łodzie. Płynęły

powoli w blaskach poranku po fali przejrzystej, a pieśń jak zwiastun płynęła przed nimi. Sześć ich było,—na każdej po kilka postaci mężów silnych i zbrojnych, tylko na najmniejszej z krzyżem u steru, jaśniejącym w słońcu, trzech było ludzi odmiennie odzianych, bez żelaza u boku, bez tarczy, zbroi i topora. Jeden z nich starzec, z odsłoniętą głową stał pośród łodzi, za nim dwóch młodszych pospołu, ręce złożonywszy, oczy wznieśli w niebo i głosem pełnym wiary i natchnienia w błękit pieśń ślali. Na łodziach sąsiednich brzmiał chór poważny. Bogarodzico!

Śpiew umilkł nakoniec, łodzie przez chwilę płynęły w milczeniu, skupiły się, jak gdyby dla porozumienia, nagle zwróciły wprost słońca, na prawo do zielonego wybrzeża, w tem miejscu ocienionego brzozą i olszyną. W oddali na północy już granica morza rysowała się jasno. Widocznie podróżni tam nie dążyli.

Za chwilę znaleźli rodzaj wygodnej przystani,—wysiedli. Łodzie sznurami związane u brzegu, przewoźnicy rozpalać zaczęli ognisko. Starzec opodal stał z okiem na wschód zwróconem, zbrojni mężowie stanęli dokoła z poszanowaniem i wielką po-

wagę. Starzec coś mówił, oni słuchali w milczeniu, głowy schyliwszy. Jeden z nich nakoniec wystąpił naprzód.

— Jako chcecie, ojczyźnie—przemówił— ale zważcie, iż nasza rzecz jest posłuszeństwo księciu naszemu. Bolesław rozkazał, byśmy szli z tobą w kraj pogan, jakże się wrócić mamy przeciw jego woli?

— Jego wolę spełniacie, pełniąc me rozkazy— odparł łagodnie biskup. — Otoście spełnili zadanie swoje: byliście mi strażą na ziemi własnej. Monarcha wasz pragnął uczcić mnie w państwie swoim,— stało mu się zadość. Lecz dalej władza jego już nie sięga. Na obcą ziemię zbrojnie wstąpić nie chcę, idę z orężem miłości. Miecz—mieczem się odpiera, słowo—serce przyjmie.

Milczała jednak rycerska drużyna.

— Gniewu się kniazia boim—odezwał się któryś. On rozkazał.

— Mnie dał nad wami władzę, ja wam rozkazuję wrócić. Posilimy się społem, potem odnieście mu pozdrowienie i słowa podzięk za chęć życzliwą i to, com powiedział. Niech mu Pan błogostawi w jego zamysłach i pracy, jak ja mu błogostawię.

Zmierzchało się. Przez łąki od zachodu słońca trzech podążało ludzi, nad granicą lasów, het, ku wschodowi. Szli wolno, śpiewając. Szaty ich proste były i zniszczone, znać służyły czas dłuższy, — w rękę kij podróżny i krzyż na piersiach duży, złocisty, świecący.

Znano ich po tym krzyżu. Po kniejach, osadach wieści chodziły dziwne o wysłańcu potężnego Boga, co przybył z stron dalekich nauczać o Jego potęg-dze. Szeptano o nim cicho, z ciekawością, trwogą i grozą. Starcy zwłaszcza chmurnie poglądali na młodzież, co zawsze ciekawa, nowości żądna. Każdy rad posłuchać, co obcy człowiek mówi, popatrzeć na czary, na krzyż złocisty, a obcy przybysze rozum mu zabierają, moc, wolę i bogów.

W leśnej osadzie z dziwem powitano gości. „To oni, oni!“.. Przyjęto ich mlekiem, rybą wędzoną. Krzyż przykuwał oczy: godło ich mocy. Słowa biskupa w Prusów języku płynęły tak słodko, jak szmer strumyka po zielonej łące. A pod ich czarem młodzież słucha, słucha, dusza wybiega z ciała gdzieś daleko, het, het, za światy.

Starców oblicze i groźne i trwożne. To bogów obraza! Kto przed ich pomstą osłoni człowieka?

Żli to są ludzie i złe sieją ziarno: klęski i kary. Gościnność jednakże tarczą im była. Kiedy błysnęły gwiazdy na błękicie, miejsce wskazano im na wypoczynek, bezpieczne i spokojne, sianem potrząśnięte i skórę ciepłą do przykrycia dano.

Lecz przy ognisku starzy późno w noc radzili, szeptali długo. Niezwykli to goście, niedawno przyszli: bogów wyzywają, zgubę im wróżą. Cóż pocznem bez bogów? Czyż pierwszy piorun nas samych nie spali? Biada nam, biada!

Ktoś stanął w obronie: ciekawość, jaka ich Boga potęga? Musi być mocny, skoro chce walczyć z innymi. Można mu także gaj jaki poświęcić, niechaj w opiekę weźmie Pruską ziemię.

Starcy spojrzeli na mówcę złowrogo i chmurniejszemi były ich oblicza, w oku gniew gorzał, milczący, lecz straszny.

Wyrok stanowczy padł na cudzoziemców: zarazę niosą, usunąć ich trzeba. Serca młodzieży płochy, łatwowierne, starszych zadaniem strzedz je od zepsucia i bogów bronić. Do nich to należy. Widzieli sami własnymi oczyma potęgę słowa ich, potęgę krzyża, nie czas się bronić, kiedy wrogiej sile ulegnie ziemia cała.

Wcześnie zbudzili się nazajutrz zrana podróżni, — słońce zastało starca na modlitwie i ozłociło koroną z promieni włos jego biały. Wówczas na kamień obok leżący pod drzewem biskup oliwy nalał, krzyż zatknął wysoko i zaczął świętą odprawiać ofiarę.

Chór ptasząt pieśnią wtórował tym modłom, lasy szeptały cicho wielkie słowa, co po raz pierwszy w tem miejscu zabrzmiały, kielichy kwiatów, niby kadzielnice wonne, słały swe tchnienie, kłaniały się trawy, ku ziemi chyląc łzami obciążone liście, a słońce z góry wielką patrzyło źrenicą na ołtarz Pański, niby wyspę jasną wśród fal pogaństwa.

Z daleka pochmurnie patrzeli na to starcy. Sami tu zostali, by czuwać nad obcymi, młodzież i kobiety usunięto w głąb puszczy przed czarami ludzi nieznanych, co klęski i zgubę nieśli, do walki wyzywając bogów. Jeśli potężni są mocą nadziemską, tem gorzej dla nich, — ustąpić stąd muszą co prędzej lub — śmierć im. Starzy bogowie pomogą.

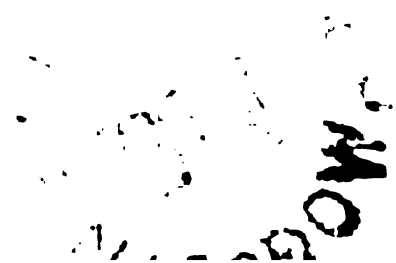
Biskup tymczasem skończył swą ofiarę i zbliżał się z przyjaznem pozdrowieniem. Chmurne oblicza nie były mu straszne, wszakże szedł w imię

Pana. On rozproszy chmury, gdy łaską dotknie te dusze zbłąkane. Widział już takie cuda na tej ziemi.

Więc mówić zaczął, jako Pan jest dobry, co słońcu świecić każe i ziemię okrywa szatą zieloną ku radości oka i pożytkowi ludzi. Jak w dobroci swojej życie rozlewa wszędzie, o drobnej pamięta ptaszynie, o zwierzu w kniei, a ludziom zgotował tam, na błękitach, mieszkanie szczęśliwe, błogosławieństwa pełne i radości. I za to żąda tylko, aby Go poznano, aby Go sercem ukochano całym i uwielbiono w nim Stwórcę i Ojca jedynego w niebiesiech.

A starzy bogowie?

Więc im tłumaczył znowu o upadku ludzi, i gniewie Bożym, o błędach pogaństwa, litości Pana i Odkupicielu, co krew swą przelał za wszystkich na ziemi. I niema innych bogów oprócz Niego, błędy są tylko i sprawy szatańskie, które porzucić należy co prędzej. Wodą z nich obmyć i duszę i ciało i w Panu zacząć życie, podług Jego prawa. Krzyż zatknąć, aby świadczył, że tu w sercach ludzi jeden Bóg mieszka; ognie pogasić szatańskie, wyrąbać gaje przekłete i drzewa, pokruszyć ślady grzechu.



Starzec w natchnieniu mówił, w oczach jego płonęły blaski, rękę wyciągnął ku niebu, a krzyż w niej błyszczał złoty.

Surowe jednak oblicza słuchaczy odwróciły się od godła zbawienia, patrzyły w ziemię. Jeden przemówił nakoniec.

Nie chcemy krzywdy tobie czynić, gościu. Gość świętym jest, choć niesiesz nam bogów niełaskę i i gniew ich spadnie na nas, jeśli cię słuchać będziemy. Może i twój Bóg mocny, ale naszych wielu, jeden im nie podoła. I po co nam szukać obcego? Ojcowie ojców naszych z tymi żyli, pod ich opieką, — my innych nie chcemy. Odejdź w pokoju i nie wracaj więcej, bo śmierć cię czeka.

— Śmierć w ręku Boga.

— W naszym jest ręku. Nie chcemy twych czarów, ani twojej nauki. Odejdź, boś nam gościem, lecz biada tobie, jeżeli powrócisz.

Daremnie święty biskup przekonywał, rozbroić pragnął zawziętość słuchaczy, skruszyć ich serca. Daremnie. Posiłek gościom dano, a potem straż mocną, która ich odwieść miała aż do rzeki, granicy Pruskiej ziemi.

I szli znów trzej kapłani pospołu z pogany

w stronę zachodu, aż do brzegów Wisły. Droga długa była, toż święty biskup skorzystać z niej pragnął i głosił słowo Boże, niby siewca—ziarno, co pada na opokę. Milczeli Prusowie, twarde były ich twarze, ponure spojrzenia.

Po dniach niewiele na brzegu stanęli. Tu drogę wskazano przybyszom, raz jeszcze powtarzając groźbę śmierci.

— My od was nic nie chcemy,—zostawcie w pokoju nasze chaty i bogi. Bronić ich będziemy. Ma twój Bóg dosyć ziemi, zostaw naszą—naszym. Puszczamy cię wolno, bo nie chcemy zwady, gościem nam byłeś, teraz wrogiem tylko powrócić możesz. Dla wroga śmierć mamy.

Odeszli Prusowie, chrześcijańscy kapłani zostali na wybrzeżu. Po wieczornej modlitwie spoczęli bez trwogi pod skrzydłem Pana.

Dzień powitali pieśnią na cześć Maryi i znowu długo trwali na modlitwie. Co począć teraz? Czyż wrócić do Gniezna? To zdradzić Pana, — zwątpić o Jego opiece. Nie. On dał przykład. Sam umarł na krzyżu, setki, tysiące wiernych krew oddało za prawdy słowo. Krew—to zdrowe ziarno, w ziemię rzucona—piękny plon wydaje. „Nie słowem tylko,

krwią świadczyć będziecie“. Jeśli takiego świadectwa potrzeba, zabierz je Panie. Wszak żaden apostoł jeszcze przed groźbą śmierci się nie cofnął.— Bądź wola Twoja, Panie.

Pół dnia upłynęło na tych rozmyślach, modlitwie, szukaniu posiłku. Skromne zapasy, jakie mieli z sobą, należało oszczędzać, gdzie o żywność łatwiej. Kto wie, co czeka ich jeszcze. Świeża ryba, placka żytniego kawałek głód ich zaspokoili. Południe minęło, gdy znów ruszyli w drogę.

Roztropność jednakże nakazywała ścieżki wczorajszej unikać, zwrócili się więc bardziej na południe i pod osłoną lasu śmiało i spokojnie wstępowali w głąb kraju. Ludzie nie wszędzie jednacy, inni ochotniej przyjmą słowo Boże, wszak znaleźli już takich i na Pruskiej ziemi.

Las piękny był na wiosnę, pełen gwaru ptactwa, szumu strumieni, szeptu młodych listków, światła i woni. Wesoła zieloność krasila drzewa, kładła się po ziemi, igrała z lekkim powiewem, co bujał złote promienie słońca, rzucając je czasem prosto w oczy przechodniów, kołysząc po trawie i mchu wysokim.

Pomiędzy drzewami wiła się ledwo dostrzegalna

ścieżka. Mało kto chodził nią widać, a jednak ludzka to ręka na bok usunęła kłody zwalone i cierniste krzewy, które naokół tamowały drogę. Chadzano tędy znać, może ku Wiśle.

Mrok już zapadał, kiedy wyszli z lasu na wielką łąkę, borem otoczoną. Byli bardzo znużeni, a nigdzie ni śladu chaty, ogniska. Szli jednakże dalej po miękkiej trawie, która łąkę pokrywała. Piękna to była ustron, cicha i kwiecista, głosu Bożego pełna. Pośrodku polany dąb rósł olbrzymi, stary, już zielony i szumiący poważnie. Obok głąz szeroki, jakby z nieba rzucony ołtarz.

— Tu spoczniemy—rzekł biskup do znużonych towarzyszy. Noc zapadła, siły nasze wyczerpane, a miejsce to jest Boże,—i ołtarz gotowy do jutrzejszej ofiary. Pod Twoją obronę.

Wkrótce spali snem smacznym. Lecz dnia następnego zbudził ich groźny okrzyk: gdy oczy otwarli, ujrzeni wkoło dzikie, gniewne twarze, pałające spojrzenia, wzniesione maczugi i topory kamienne. Przy głązie szerokim stał starzec w wieńcu zielonym na głowie, z białą i długą brodą. Słońce z wysoka pałtrzało spokojnie.

— Śmierć! powtarzały gniewne, groźne głosy.

Bogowie znieważeni, gaj święty i łąka zdeptane obcą stopą. Krew tylko zuchwałych przebłagać może bogów.

— Na kamieniu ofiarnym przemówił znów kapłan.

— Na ofiarnym kamieniu — powtórzyły głosy.

Tymczasem biskup i dwaj jego towarzysze stali spokojnie. Biskup podniósł rękę i uczynił znak krzyża, lecz w tej samej chwili okropny krzyk wściekłości i trwogi podniósł się z wszystkich piersi, jedni pierzchali w największym popłochu, inni rzucili się na swe ofiary, kamienny topór spadł na głowę starca, inny pierś mu otworzył, padli jednocześnie obaj młodszy kapłani, krew bryznęła falą w twarze morderców.

Cofnęli się nagle, trwogą przejęci, w zdumieniu patrząc na trzy martwe ciała u stóp świętego dębu przy wielkim kamieniu ofiarnym.

— Oto moc jego Boga — rzekł kapłan pogański oto moc jego czarów! Z bogami walczyć przyszedł, poznał ich potęgę. Krew ta przebłaga bogi obrażone.

Lecz twarze pogan dziwnie były blade, z trwogą patrzyli na krew, co zbryzgała ich szaty, ręce, warzet.

— Czary, czary—szepnął ktoś w tłumie—rękę na nas podniósł i krew bryznęła z niej, a za krwią spadnie zemsta obcego, potężnego boga.

— Bogowie osłaniać nas będą.

Poganie jednak cofali się z trwogą od ciał zabitych, nadaremnie kapłan wzywał, by święte pole oczyszczono, aby Zniczowi oddać na pożarcie szczątki poległych wrogów. Nikt się nie ważył. I on sam nakoniec cofnął się blady. Któż zna wszystkich bogów? A jeśli Tamten za krwawą ofiarę ześle tu hufce, krzyżami znaczone, co krew pić będą pruską długie wieki?

23 kwietnia 997 roku zamordowanym został święty biskup Wojciech przez Prusaków na poświęconej czci ich bogów łące. Ciało jego odkupił król Bolesław Chrobry i złożył w Gnieźnie z czcią wielką i żalem, a kościół w męczenniku uznał świętego patrona i czcić nakazał. Odrzucone słowa miłości i pokoju wtargnęły na Prusy ogniem i mieczem, — wiele krwi spłynęło na ziemię napojoną krwią świętego przez dzikich pogan lat 9 set temu.

Albowiem każda kropla krwi, włos każdy policzonym jest w oczach Pana.

NA SKAŁCE.

Wieczór zapadał zwolna na pola i grody, od Wisły wiatr niósł chłodny i wilgotny powiew, uciśzało się wszystko. Naraz w powietrzu spokojnem rozległ się dziwny, niezwykle głoś dzwonu. Brzmiał krótko i boleśnie, niby jęk urwany, to znów odzywał się groźnie, ponuro, niby wyrok sędziego.

Przed kościołem na Skałce lud się gromadzić zaczął, wylękniony, milczący, pełen trwogi. Zapełnili dziedziniec jak fale wzbierającej rzeki, napływali po schodach do obszernej kruchty i ciemnej prawie nawy.

Dzwon huczał ponuro; na głównym ołtarzu paliło się światło, nie rozjaśniając wszakże posępnego mroku, który zalegał wewnątrz niewielkiej świątyni. Niezwykłe widać ma się odbyć nabożeństwo, podobne raczej do pogrzebu.



Cisza ludu wzrastała, a posępne echo wciąż bijącego dzwonu odzywało się w sercach strwożonych,—ale usta milczały. Najśmielsi zaledwie odważyli się szepnąć jakieś przypuszczenie i znowu cisza.

Drzwi zakrystyi skrzypnęły, błysnęły świece zapalone i ku ołtarzowi w posępnem milczeniu, ze światłem w ręku i schylonemi głowy, skierował się długi szereg kleru i kapłanów w białych szatach, z okiem ku ziemi spuszczonem i modlitwą na ustach.

Ostatni, z twarzą bladą i surową, modląc się cicho wszedł biskup Stanisław ze Szczepanowa, obleczon powagą wielką i uroczystą. Przed nim chłopiąt dwoje niosło krzyż srebrny i księgę.

W kościelnej nawie ucichł szmer najlżejszy, ludzie dech wstrzymywali. Biskup Stanisław zasiadł na przygotowanym krześle, zwrócony twarzą do narodu, po obu stronach stanęli kapłani, po sześciu, w białych tiarach, z zapalonemi światłami, — kler młodszy w głąb się usunął.

Z otwartej księgi biskup czytał długo słowa modlitwy bez głosu, z cicha poruszając ustami.

Nagle zwrócił się twarzą do ciemnego tłumu, który napełniał nawę. A twarz miał pobladłą, su-

rową, uroczystą, twarz sędziego, który za chwilę wygłosić ma wyrok śmierci... Ludzie z daleka czytali w niej groźbę i cofać się zaczęli instynktownie ku drzwiom. A biskup czytał głosem podniesionym, boleści wielkiej pełnym, ale tak surowym, że słowo każde niby ostry kamień padało na strwożone serca.

I czytał długo, ale w pierwszej chwili lud do słyszał jedynie: „Bolesław, Kazimierzów syn, król kraju tego.” — I nie słyszał więcej, obawą zdjęty. Wszak nie po raz pierwszy biskup publicznie napominał króla, wyliczał grzechy jego, wzywał do poprawy. Nie po raz pierwszy, — a król zapalczywy, groźny... Boże, Boże, Boże!

Ponuro brzmiały słowa uroczyste w półmroku cichej nawy i grozą straszną przejęci słuchacze luźne zaledwie pojmowali zdania. I nie wiedziano z początku, co znaczy to wypomnienie win dawnych i świeżych i silniej padły znowu w dusze słowa: „Ponieważ napomnieniami pogardził, upamiętać się nie chce, odpuszczenia nie żąda, ale trwa w grzechu i słucha poszeptów szatana, wyklętym niechaj będzie występny monarcha wraz ze wszystkimi doradcami swymi, sądem Boga Wszechmocnego, Ojca,

Syna i Ducha i wyłączonym z kościoła na niebie i ziemi, dziś i na wieki, jeśli się nie upamięta!

Biskup na chwilę umilkł, jak człowiek zmęczony, który dopełnił ciężkiej powinności, ale za chwilę podniósł głos raz jeszcze: „Oddając ciało jego szatanowi, potępieniu i karom zasłużonym, pragniemy, aby dusza winowajcy przez żal szczery i pokutę zbawioną była na dzień sądu. Amen.

— Fiat, — Fiat, — Fiat! uroczyście powtórzyli chórem kapłani.

Z ostatnim wyrazem biskup płonącą świecę rzucił przed siebie na ziemię, a za przykładem jego rzucali je z głuchym łoskotem kapłani. I gasły światła, ciemność zaległa świątynię, dym tylko siny snuł się smugami wśród mroku, roznosząc przykry i duszący zapach.

A w mroku niby szereg duchów białych postępowali zwolna od ołtarza ku drzwiom zakrystyi słudzy Boży w milczeniu, z głowami schyłonymi i biskupem na czele.

Tłum pozostały jeszcze milczał przez czas jakiś, ogłuszony wrażeniem, — nagle jęk rozpaczy, potężniejąc stopniowo, uderzył o sklepienie świątyni, odbił się o jej mury, nabrzmiął płaczem wielkim,

głośnym i pełnym żalu. Lud cofał się z nawy i spływał znowu po stopniach kamiennych, niosąc wieść straszną dla całego miasta, kraju całego.

W ciemnościach kościoła nie było ciszy teraz: tłumione szlochanie, skargi bolesne płynęły w pomroku od niewidzialnych, skruszonych postaci, które przylgnęły prawie do posadzki, kolanami, pierśmi, tarzały się w prochu.

— O Boże miłosierny, miej litość nad nami!

Dzwon jęczał ciągle pogrzebową pieśnią.

A tymczasem wieść straszną, jak lawa niszcząca, szeroką rzeką płynęła ku miastu, a blada trwoga, niby cień szła za nią. I szerzył się ten pożar dalej, dalej, dalej, a jęk brzmiał coraz głośniej.

— Król został wyklęty!

— Nie mamy króla!

Kobiety z rozpaczą kryły swe dzieci, tuliły do siebie, jak przed nieszczęściem, co nadpłynąć musi,—mężczyźni z pobladłymi ustami szeptali, iż siła klątwy kraj cały dotyka, wszystkich poddanych nieszczęsnego winowajcy, wszystko, co z nim zostaje w jakimkolwiek związku, co mu służy, podlega, słucha jego woli.

Każda piędź ziemi, jego stopami dotknięta,
klątwe na sobie dźwiga.

Popłoch się szerzył, wiatr niósł go jak burzę.

Król tymczasem ucztował.

W komnacie zamkowej stół zastawiono długi, pokryty białymi, szytymi złotem, jedwabiem, obrusy,—to robota Rusinek, to z Rusi zdobycze. Na stole lśniły złote i srebrne naczynia, dzbany, konwie i misy i kubki misterne, świeciły blaskiem ognia jasno płonącego, budząc podziw najwyższy ciekawego tłumu, co do drzwi, okien cisnął się, by widzieć ucztującego pana, królewską biesiadę.

Dworzanie nie odpychali gawiedzi: wiedzano na dworze, ba dalej nawet, że na prostych ludzi król „aż do zbytku“ łaskaw. Ziemianie, rycerstwo dawno za złe mu mieli, iż prostocie często pierwszeństwo dawał przed zasługą, przed tymi, którzy siłą jego byli i krew z nim przelewali.

Na szerokiej z poręczą ławie, czerwonym sukniem bogato zasłanej, siedział na podwyższeniu mężczyzna lat średnich, w sukni z jedwabiu, złotem szytej, bramowanej złotymi sznurami, chwastami

przystrojonej. Na szyi miał łańcuch gruby z kosztownego kruszcu, pas na biodrach, a przy nim mieczyk, kamieniami sadzony. Na głowie szłyk szkarłatny z futerkiem,—nogi w butach czerwonych, ze złotymi na nosach skówkami, obcisło suknem owinięte.

Siedział rozparty na ławie wygodnie.

Króla w nim znać było zdala nienawykłego ustępować nikomu. Czarne, ogniste, żywo biegające oczy gorzały jakimś wewnętrznym płomieniem, usta wydatne miały wyraz dumy, połączonej z pogardą, silne rumieńce twarz mu okrywały, po części może od licznych puharów, czoło tylko jaśniało królewskim spokojem, wyniosłe i szlachetne, a duży nos orli z rozdętymi nozdrzami nadawał twarzy tej niepospolitej wyraz żelaznej woli, szalonej odwagi.

A zmienna twarz to była jak niebo kwietniowe, jaśniejące błękitem, złotem malowane, a za chwilę posępne czarnemi chmurami lub obłokami białemi zasnuć. Poranek taki nie ręczył za wieczór, a burza i pogoda zmieniały się szybko.

Cóż w tem dziwnego: od dziecka pan, żołnierz, wódz, zwycięzca, rozdający berła i korony, nie znał nad sobą żadnej władzy, nie rozumiał. Wola własna

stała się dlań prawem jedynem, a wszelki opór ostrogą do walki.

Dwór liczny otaczał króla, lecz niezwykły: na licach świeżych, różowych, młodzieńczych, jasny lub ciemny puszek znaczył zaledwo wiek męzki, lecz okrywały ich szaty kosztowne, jaśniejące, złociste. Twarze ich były wesołe, pogodne, uśmiechnięte i bez troski, — trochę buty na ustach, trochę dumy w oku, ale ani śladu dojrzałej powagi.

Pośród nich ani jednej siwej głowy, lica naczynzonego przez czas, trud, zasługę, spokojnego powagą i myślą głęboką.

Przy tronie króla młodość i wesele, śmiech i pustota. Czyż to jego podpory?

Dźwięczą puhary, brzmią śpiewy hulaszcze, pląsają młodzi — noc późna zapada, ale na zamku brzmi ciągle wesele...

Nagle w ciemności jęk rozległ się głuchy, potem złowroga, straszna jakaś cisza i znów ryk oddalony niby huczącego morza, krzyk, jęki, płacze...

Młodzi biesiadnicy wzrok pytający zwrócili na siebie, potem na króla. Król podniósł się z ławy, miecz trzymał w dłoni. Twarz zbladła mu nieco, ale nie z trwogi, prędzej z gniewu może: czyżby wróg napadł zuchwale gród jego?

Czekał. Milczenie i cisza groźniejsza od najzuchwalszej wrzawy. Niema łuny żadnej, lecz co to znaczy?

Wybiegł na podwórze, drużyna za nim—tu pusto i głucho. Nikogo niema, nikogo z ciekawych. Gdzież pobieżali? Bez wieści? bez słowa?

Gniew zawrzał w królu. Czyż on szukać winien niebezpieczeństwa? Lecz wnet na ustach siadł uśmiech wzgardliwy: czyż lwa oburza trwoga stad jelenich?

— Na koń! zawołał dumnie.

Spełniono rozkazy. Za chwilę garstka zmierzała ku miastu zbrojna i śmiała.

Tuż u stóp Wawelu zdala czerniło się mrowisko ludu, jęczące, rozplakane głosem wielkim. Nie można było wątpić, że nieszczęście skupiło ten tłum tutaj. Król biegu przyśpieszył, dworzanie za nim. Lecz dziw niesłychany: na jego widok straszny krzyk rozpaczy wstrząsa powietrze, a czarne gromady pierzchają na wsze strony, jak chmury przed wichrem, jak cień przed słońcem.

Król przystanął: czoło wzdeło się fałdami, oczy błysnęły groźnie. Skinął i pogoń szybko biegnie z góry, ściga. Daremnie. — Z krzykiem rozpaczy i trwogi chronią się nieszczęśliwi za płoty i rowy,

zamykają się w domach, kryją, gdzie mogą, bo wszakże jedno z wyklętym zamienione słowo klątwę straszliwą przenosi na głowę nowej ofiary.

Wrócili dworzanie, wiodąc pojmanyh kilku starców i kobiety, — ale król skinął, aby ich puszczo.

Wiedział już wszystko: biskup go uprzedzał,

Teraz stał blady jak posąg z marmuru, straszny, z oczyma niby dwa płomienie i mieczem w ręku. Stał tak krótką chwilę, aż fala gniewu krwią trysnęła z twarzy i rykiem z piersi. Płomienne źrenice stanęły słupem, nieruchome, groźne, jak dwa pioruny uderzyć gotowe, piana wściekłości na ustach osiadła.

— Naprzód! zawołał głucho niehumanym już głosem.

I ruszył cwałem. Za nim młodź szalona.

Gdzież to tak rano? Świtać zaczyna dopiero.

Lecz już ich niema. Przez puste ulice pędzą jak duchy pomsty, pijane wściekłością, ślepe, szalone...

W kościele na Skałce drzwi nie zamknięte, na stopniach ołtarza biskup krzyż trzyma w ręku.

Po schodach kamiennych biegną rycerze młodzi, strojni, śmieli, a król przed nimi.

Wśród ciszy poranka krzyk się rozlega, szczełk mieczów, brzęk ostróg i wrzawa dziwna, krótka.

Dzwonek na Skałce uderza znów trwogą, jękiem, boleścią.

Przez ulice grodu pędzi drużyna królewska w nieładzie, krwią zbryzgana, on sam z mieczem krwawym w dumnej prawicy,—lecz jakże zmieniony! Czyż wzrok ten błędny widzi, dokąd zmierza? ludzi i miasto? Czy słyszą te uszy inny głos jaki nad straszny dźwięk dzwonu, który ku niebu nie się wieść okropną?

O nie! Te oczy widzą tylko postać z krzyżem i krew niewinną, która trysnęła na pańskie ołtarze i królewską purpurę z piersi męczennika. Krew, krew dokoła, krzyż, serce przebite i hostya biała tam, w górze, wysoko...

A w tłumach ludu płyną dziwne słowa:

— Mord, mord okrutny! Splamiona świątynia, Pański Przybytek. Zwłoki męczennika pod orłów strażą spoczywają jasne i światłość je otacza. Srogi król-morderca uląkł się zbrodni własnej. Nie masz go na zamku,—nie depce ziemi świętej stopa wyklętego.

Niemasz go,—zniknął.
Wyklęty, wyklęty!

Od tego czasu minęło lat wiele.

W Osyaku, cichym klasztorze na Węgrzech, opat wezwanym został do konającego w ubogiej celi jednego z najniższych posługaczy klasztornych.

Pokorny był i cichy. Przybył tu z obczyzny lat może dziesięć temu w pielgrzymiej odzieży. Przybył zdrożony, bosy, o kiju żebraczym i o schronienie prosił. Litościwy zakon przygarnął go i od-tąd pielgrzym ciężką pracą odpłacał za gościnność. Od rana do nocy drwa rąbał, mył podłogi, w naj-sroższe upały posługiwał przy kuchni, w mrozy na podwórzu zawsze najniższe wypełniał roboty i chci-wym zdawał się być pracy takiej, którą ci służy Boży przeznaczali na pokutę za grzechy. Chwile odpoczynku przepędzał na modlitwie. Widziano go nieraz nocie spędzającego przed progiem kościoła, na ziemi, w prochu. I nieraz na śniegu ślad stopy jego krwią byłznaczony. Szeptano wtedy, że się biczował okrutnie, że nosił włosienicę, która nie dawała goić się ranom.

Jednak krwi się lękał, a na jej widok oczy stawały mu słupem, twarz białała jak kreda. I uciekał od niej, modlił się i pracował.

Był cichy, posłuszny, zdarzało się przecież, iż wieść ze świata dziwnie nim wstrząsała. W oczach mu grały wówczas ognie jasne, prostował barki kornie pochylone, ręką do boku sięgał i mimo łachmanów wyglądał wtedy jak wielki dostojnik.

Ale krótkimi były chwile zapomnienia,—wnet rozpacz jak zawieja na twarz mu spadała, zmieniała rysy,—ze wstrętem i trwogą patrzył na rękę prawą i bił się w pierś długo i pokornie, zanim znak krzyża położył na czole.

Kiedy wezwany opat stanął w progu nędznej izdebki, blada twarz pielgrzyma błysnęła wielką choć cichą radością. Ale cień smutku przesłonił ją zaraz.

Opat spojrzał na twarde deski bez pośłania, na których spoczywało ciało pokutnika, w szorstką włosienicę przyodziane, i powitał go w imię Boże.

Chory z wysiłkiem siadł na wązkim łożu i pokornie ręce skrzyżował na piersi.

— Pragniesz przez spowiedź pojednać się z Bogiem, bracie mój? rzekł zakonnik, a widząc, iż

chory pobladł znów bardziej, zapytał łagodnie, siadając obok niego na podłodze.

— Powiedz naprzód, kim jesteś i skąd tu przybyłeś?

Pielgrzym przeżegnał się ręką słabnącą i szepnął cicho.

— Jam jest syn Kazimierza I Piasta... Wyklęty Bolesław...

— Zabójca biskupa! zawołał opat.—Azali to prawda? Tyś jest ów król wyklęty? Morderca biskupa Stanisława ze Szczepanowa?

— Jam jest — potwierdził chory z głową pochyloną. I mówić zaczął, jakby sam do siebie:

— Czyż nie wolałbym stokroć urodzić się najnędzniejszym niewolnikiem? O lepiej żyć w nędzy, a z pokorą w sercu, niż królować z tronu pychy wśród znikomych rozkoszy. Szczęśliwi niewolnicy, szczęśliwi nędzarze...

— A jednak jam miał serce i myśl wielką... Pychą zgrzeszyłem—w pokorze się kaje...

— Okropna zbrodnia moja, lecz żal szczery...

— Czy Pan przebaczy?

— Żałuj i ufaj bracie, a wyznaj szczerze, co cię do zbrodni przywiodło?

— Szał gniewu, ojczyzna, duma niepokonowana, zapamiętanie. Myślałem, że wielkim wszystko tu wolno. Sława i zasługi wzrok mi olśniły, win swych nie widziałem... Wiedziałem tylko, że kraj ukochałem, który Bóg mi powierzył, jako dziedzictwo na ziemi. Czułem się godnym korony Chrobrego i jego miecza. Czułem się silnym i śmiałym. Wyplenić zło dokoła, podnieść blask oręża i chwałę kraju było mem zadaniem—lecz mnie nie rozumiano. Chrobry umarł ze smutnem proroctwem na ustach—jam je pamiętał. Fale germańskiego morza liżą granice Polski,—chwieje się gmach wielki, bo jednej spójni u szczytu mu trzeba, swobody dla podstawy szerokiej jak naród. Jeden pan ma być w Polsce i lud tylko jeden, serc milionami bijący złączonych, bez możnowładców, władcyków, królewiat!... Więc odepchnąłem wyniosłych i starych, przeciwnych woli mojej i dążeniom... Wproch zetrzeć chciałem wszelki opór woli mojej... Młodość mi będzie narzędziem i siłą, z młodzieży stworzę szermierzów mej woli, na sercach ludu silniej oprę ramię...

— I nie tak będzie, jak za ojca mego. kiedy przybyło niemieckie poselstwo. Pamiętam ich postawy pyszne i wyniosłe,—ojciec pokornie zstąpił

do nich z tronu i szepnął do mnie: „Możnego to państwa wysłańcy. Polska im nie dorówna, nie dostoi“.

— Mnie zamroczyło w oczach, korona Chrobrego zbladła mi nagle, zmaląła—spodlała. I gdy w szesnastym roku na tron wstąpił, przysięgłem sobie, że jej blask przywrócę, że mój majestat dorówna potędze berła cesarzy...

— Czy ślub ten spełniłem? Kniaziowie Rusi i Węgier królowie błagali o jedno cięcie mego miecza i jam pośpieszył. Wbrew woli cesarza koronę Węgier Beli włożyłem na skronie. Połączyć Kraków, Pragę, to myśl moja,—myśl wielka, Boża.. Ale serce nie miałem chętnych dokoła...

— Może z własnej winy...

— Zgrzeszyłem ciężko: nie drogą pokoju, ale orężem dobro szerzyć chciałem,—siłą—przemocą.—Upiłem się dumą, potęgą własną. — Szalony. szalony! Nie pamiętałem, że do pracy Bożej ręce i serce czyste mieć potrzeba... Jam się rozkoszą bawił, szczęście gonił własne... Zgrzeszyłem ciężko, dumą bez granic zgrzeszyłem, szalony w guiewie, w zemście niepohamowany, winnym nie przebacający...

— Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina... kończył, bijąc się w piersi wielki winowajca.

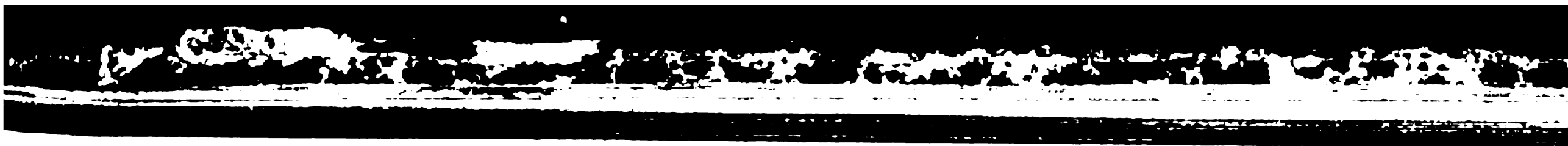
W Krakowie, w srebrnej trumnie przed ołtarzem spoczywają relikwie świętego biskupa, Stanisława ze Szczepanowa *). — Daleko na obczyźnie, pod murem klasztornym skromna mogiła króla-zabójcy porasta zioły dzikimi.

Tam dotąd kamień leży, mchem okryty,
Jodła mu cienia i chłodu dodawa:
Na głazie zbrojny mąż z koniem wyryty.

(Ze „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza).



*) Kanonizowany w 170 lat po śmierci, t. j. w r. 1250 za Innocentego IV.



Trzy chwile z życia ks. Mendoga.

Wielki i niepamiętny dotąd w dziejach Litwy zjazd cudzoziemskich gości oglądały po raz pierwszy drewniane mury Nowogródka dnia 8 września 1252 r. Wprawdzie w ostatnich latach, przez puszcze litewskie przebitą drogą, nieraz w gościnę do księcia zjeżdżały tu gromady krzyżowych rycerzy. Ich białe płaszcze i lśniące szyszaki świeciły wtedy w murach Nowogródka groźniej od znaków niebieskich, co wróżą wojny i klęski.

Przed takimi gośćmi kryła się ludność książęcego miasta, zbiegała w puszcze, aby ich nie widzieć. Ci, co zostali z jakiegobądź przyczyny, chodzili chmurni, z zapartym oddechem i twarzą bladą, pewni, że prędzej czy później z odwiedzin takich musi wynikać nieszczęście.

Książęca wola. A jednak, a jednak... biada,

jeśli na księcia pierwszy piorun spadnie. Z ogniem nie igraj, nie baw się z Krzyżakiem. Mocną ma zbroję, miecz żelazny ostry i krzyż straszliwy i dzikie spojrzenie i mowę obcą, a wrogiem jest bogów i ludzi, co oddają cześć Zniczowi. Jakaż z nimi przyjaźń?

Książę myśli z ich pomocą pokonać bratanków, zuchwałych do posłuszeństwa przymusić, panem nad nimi być. Ale czy godzi się ufać wrogowi?

Ha jego wola, księciem jest!

Aż oto głucho obiegły wieści po kraju naokół, że książę — książę bratem chce zostać Krzyżaków, bogów się zaprzeć, lud oddać przemocy zdraдных przyjaciół swoich, za ich ostre miecze, któremi bronić go mają w potrzebie. Prawdaż to? prawda?

Wola księcia gdy stanie przeciw bogów woli, cóż z krajem będzie? z ludźmi?

Sroga ciągnie burza.

Tymczasem od zachodu dążą wspaniałe drużyny Krzyżaków, duchowieństwa. Krzyż złoty lśni w słońcu na hańbę bogom. Zjeżdża biskup Chełmski Henryk i mistrz krzyżacki Stüekland, arcybiskup Rygski, wszyscy dworno, bogato, orężnie; ledwie pomieszczą gości książęce komnaty w starym

zamku. Jakże nie wierzyć? Bratanek książęcy, Trojnat, syn Erdwiłka, sam głosi wśród ludności, że Mendog wiarę przyjmuje Krzyżaków, wodą ich zmyje z czoła błogosławieństwo bogów, krzyż zatknie na świątyni dawnej Znicza, a kto z nim nowej wiary nie podzieli, wrogiem mu będzie.

Na drewnianym zamku tłumno i gwarno. Największa komnata przybrana strojnie w zielone gałęzie, pośrodku ołtarz, krzyż złoty, światła, chrzcielnica. Goście zasiedli na ławach, czekają rozpoczęcia obrzędu.

Książę w sąsiedniej komnacie z mistrzem Stüclandem jeszcze toczy obrady, podaje warunki. Może sam lęka się chwili stanowczej. Chrzest mu przynosi koronę i tytuł, przymierze całej potęgi zakonu, mocny fundament władzy, straszną grozę w obec niekarnych, niechętnych. Korzyść to już olbrzymia. Dlaczegoż się waha? Jakaż potęga bogów, którzy nie umieli osłonić go przed krzyżem? A jeżeli krzyż silny, niech krzyż będzie bogiem.

Kto wie zresztą, gdy dzięki nowym sprzymierzeńcom podniesie swoją władzę, skruszy nieprzyjaciół, gdy na tronie bezpiecznym spokojnie zasiędzie, kto wie, co wtedy uzna za swą wiarę, za

prawdę? Wtedy będzie panem woli swej i czynów, dziś — uledez trzeba.

I powstał blady, z czołem podniesionem, chytrą źrenicą, zaciętymi usty. Jeżeli do potęgi to jedyna droga, on się nie cofnie. Drżysz teraz Dowmuncie, Trojnacie, Towciwille, koniec chęciom waszym i waszej dumie; krzyżackim orężem nie tylko krewnych pokona Mindowe, już mu Tatarzyn groźnym być przestanie i Ruś zwycięska. Gdy tylu jest wrogów, mądrość najsilniejszego użyć nakazuje przeciwko innym.

Za cenę wiary?

— Gotów jestem, mistrzu — ozwał się książę. Wiarę waszą i przyjaźń przyjmuję, nawzajem opieki żądam zakonu, pomocy do oparcia się wrogom, od zachodu bezpiecznych granic.

— Myśl książę, w takiej chwili o zbawieniu. To najcenniejszy dar, jaki ci zakon przynosi. Nikt się nie zawiódł na przyjaźni jego, lecz w porównaniu ze zbawieniem duszy czemże są doczesne zyski? Jeżeli o nich myślisz, książę w tej godzinie, niegodzien jesteś jeszcze chrztu świętego. Zakon nie łamie raz danego słowa. Czy chcesz mu ufać?

Mendog głowę schyla, milczy.

— Czyń, jakoś powiedział — rzecze nakoniec, kierując się w stronę komnaty, gdzie chrześcijańscy kapłani dopełnią świętego obrzędu.

Już dopełnili! krzyż mu jaśnieje na piersi, lecz w sercu trwoga, której nie znał dotąd. Bogowie odstąpili go już starzy, a nowy czy go przyjął? czy z nim będzie?

Mistrz mówi teraz. Wylicza kolejno dobrodziejstwa zakonu dla duszy, dla ciała i przypomina o zobowiązaniach przyjaźni, uległości. Poważniejsi bracia zakonu zostaną na dworze Mendoga, aby mu radzić i wskazywać drogę. W nich znajdzie każdej chwili opiekunów, do ich się woli stosować powinien, bo przez ich usta Bóg mu rozkazuje.

Księżę słuchał w milczeniu, z głową pochyloną. Spojrzał dokoła—same obce twarze. Czyż jest w ich mocy? Czy tylko krzyżackie miecze ma na skinienie? A gdzież jego siły? Gdzie lud? Gdzie wojsko? Czyż bogowie starzy stanęli między nim a jego ludem? O, posłuszeństwo on umie nakazać!

Wyzywająco spojrział na obecnych, każdy z nich jednak odpowiadał wzrokiem zimnym i obojętnym. Zmrok zapadł wczesny, ale światło dzienne, choć konające, dziwnie tłumilo blask żółty świec, goreją-

cych na pańskim ołtarzu. Jakże słabo i blado tlały te drobne płomyki w porównaniu z ogniem, który płonął wiecznie na ołtarzu Znicza...

Lecz Mendog chrześcijaninem, Znicz zagasić każe.

Lat dziewięć upłynęło od tej chwili. Dziesięć lat upokorzeń, obłudy, pokory i walki z sobą. Zakon panował na Litwie, książę był sługą zakonu, sługą we własnym kraju, w królewskiej koronie, z tytułem króla. Czczono go słowami, upakarzano czynem. Strzeżono, z myśli, uczuć żądano rachunku, niedowierzano słowom i na każdym kroku przypomniano obowiązek posłuszeństwa, wymagano wdzięczności.

Och, ta wdzięczność!

A jednak musiał być uległym, musiał trwać w tej przyjaźni, która gorzką trucizną poila go co dzień. Obcy wśród swego ludu, nienawistny krewnym, w Zakonie tylko miał stałe oparcie, siłę na wrogów. Prawda, że tej siły skąpo mu użyczali, łudząc obietnicą, zarzucając nieszczerłość, żądając dowodów przyjaźni, zaufania.

Jakież to dowody?

Uległość? Czegoż więcej żądać mogli? Litwę zapisał im całą, formalnie, w obec ich własnych prawników, bo tak żądali. I znowu spodziewał się ziszczenia marzeń: władzy, potęgi, wyćpienia wrogów.

Daremnie. Dowmunt, Trojnat, dotąd są bezpieczni, groźni mu zawsze, a Ruś.. Żadnego się nie pozbył wroga i nic nie zyskał, — a ulegać musi, bo stracił wszystko. Siła przy Zakonie, on w jego ręku.

I czyż niema wyjścia z tego straszliwego koła? O, gdyby wiedział był lat dziewięć temu, co niesie krzyżackie przymierze! Gdyby był wiedział, zanim wiara obca stanęła między księciem i narodem...

Dziś?

Uciekał w otchłań borów swoich,—dalej, o, dalej, gdzie niema rzyżaków, Kgdzie nikt nie widzi, nie czyta mu z twarzy uczuć i myśli. Tam może rozpaczać, szaleć z wściekłości bezsilnej, drzeć szaty, w prochu się tarzać. Tam mu wszystko wolno. Tam, w głębiach puszczy...

I przynaglał konia do dalszej jazdy przez kłody i złomy, oparzeliska i bagna i knieje, dalej od ludzi, tam, gdzie nikt nie widzi.

Nagle koń wierny, koń rozumny—stanął. roz-
dyma nozdrza i strzyże uszyna.—Co to? Krzyżacy?
Aż tutaj go śledzą?

I zadrżał Mendog, nie z trwogi, lecz z bólu.
Nie, to nie Krzyżak, to nie Niemców głosy,
Mendog poznaje. Brwi zsunął i patrzy. Jeżeli zgi-
nie, drogo sprzeda życie,—pierzchać nie będzie.

Podsuwa się cicho, cicho koń stąpa po miękkim
kobiercu mchu zielonego. Już widać dokładnie. Pod
dębem starym wielki ogień płonie, kapłani w wień-
cach, lud tłumnie, w milczeniu, i Trojnat. Trojnat
w stroju wojownika. Wyprawa jakaś?

Księżę patrzy, słucha. Kapłan coś mówi, ale
słowa ciche wiatr odnosi daleko, nie słychać ich
dźwięku. A szkoda. Wróży zapewne los wojny. Toż
Prusy pokonane i podbite ulegać nie chcą. palą
zamki, grody krzyżackie, kamienną siekierą ude-
rzają zuchwale o pancerz żelazny, a Trojnat pewno
na pomoc im spieszy. Pocóżby zebrał tu hufce tak
mnogie? Ofiary, kapłan, obrzęd uroczysty...

Ha, Zakon wreszcie przekona się jawnie, że to
nie jego sprawa te wieczne pożary. W walce nie-
pewne szczęście, — jeśli Trojnat zginie? — i Dow-
munt także? Nakoniec, nakoniec! Wtedy—Cóż wte-

dy? Czy Krzyżak mniej silny i mniej będzie zachwały?

Obejrzał się Mendog: może kto słyszy jego myśli tajne?...

Ale natychmiast zwrócił się w stronę ogniska: Trojnat przemawia, głos jego donośny i postać widna. Postać oku miła. Erdwiłka postać, brata. Cemuż z dziećmi jego taka nienawiść, co z Litwy łup czyni Zakonu?

Trojnat przemawia:

... Bogowie dają nam zwycięstwo, pomsty żądają. Pomstę za krew pruską, żmudzką, litewską, za wsie popalone, zniszczone świątynie, wyrąbane gaje, za dzieci, jadem jaszczurczym pojone, za księcia zdradę, co jak rab w niewoli wolę ich pełni, a bogi znieważa i lud swój sprzedał wrogom. Pomsty żądają bogowie. Zginie krzyżacka siła przed ich siłą, zginie bez śladu, jako śnieg przed słońcem. A wtedy bracia, wtedy cześć Zniczowi przywrócim w Nowogródku i po wszystkiej ziemi. Nie będzie wtedy krzyża na książęcym zamku, nie będzie niewolnika—zdrajcy w jego murach. Nikt się nie oprze naszym mieczom i toporom, nikt się nie oprze: bogowie dają nam zwycięstwo!

— Zguba Zakonu, cześć bogom Litwy.

— Cześć Trojnatowi! Prowadź, prowadź nas Trojnacie. Za dzieci nasze pobrane w niewolę, za bogi nasze znieważane, za klęski wszystkie—zemsta i kara na zdrajców.

Okrzyk nie przebrzmiał jeszcze, gdy pośród gromady jeździec stanął nieznany. Czyż nieznany wszystkim? Twarz blada, oko chytre i gorące, zacięte usta i postać wspaniała. Trojnat zdumiony patrzy mu w oblicze, obaj mierzą się wzrokiem.

— Nie mylą cię oczy, Trojnacie, Mindowe jestem. Jestem sam, choć zdrajcą mnie mienisz, zgubę przysięgasz, przychodzę do ciebie bez strachu. Przychodzę, z temi słowy: nie spiesz do granicy, idź lasem, puszcza, zwolna. Mnie mistrz wzywa także ku pomocy. Wyruszę, nim się księżyc schowa. Łatwo o drodze mojej wieści mieć możesz zawsze. Iść będziem do ostatka z osobna a blisko, a gdy nadejdzie chwila spotkania z krzyżakiem, pamiętaj, że bogowie obiecali *nam* zwycięstwo. Niech runie krzyż na zamku nowogrodzkim, cześć bogom starym, cześć litewskiej ziemi, niech ginie Zakon, wróg nasz i ciemieżca!

Zsiadł z konia książę, do kapłana spieszy, świę-

te składa ofiary, święte czyni śluby i wypełnia obrzędy. Na obliczu jego duma, śmiałość i prawda.

Krzyżaku, Krzyżaku, gdybyś ty widział w tej chwili Mendoga!

Ale czas wracać, aby nie budzić podejrzeń. Mendog i Trojnat szepcą jeszcze cicho, jak przyjaciele. A Litwa się cieszy. Gdy Mendog z nami, biada ci Krzyżaku. Zdradzałeś, zdradą zginiesz. Wybiła godzina. Bogowie pomsty pragną i dają zwycięstwo,—śmierć Zakonowi.

Mendog skrył się w gęstwinie, do zamku podąża, Trojnat drużynie wydaje rozkazy. Czegóż się lękać mają? Mindowe jest z nimi. Bogowie go natchnęli. Wyrzekł straszliwe zaklęcia i nie myśli o zdradzie; sam jarzmo chce zrzucić, co kark mu gniecie. Skoro złamią wroga wspólnem żelazem, wtedy się okaże, kto godzien władać krajem, czyje ramię zdolne czci bogów bronić. Wtedy powstanie pan z dzieci Ryngołda z bogów pomocą, dziś zgodnie i razem na potężnego wroga.

Bogowie obiecali nam zwycięstwo.

Na zamku w Nowogródku głucha cisza. I w mieście cisza.

Przez ostatnie lata wielkie widziano tu dziwy, i lud posepny milczy. Co zobaczy jeszcze?

Może nie chce widzieć, bo od siedziby Mendoga, przechodząc, odwraca spojrzenie.

Książę jest w zamku. Po wielkiem zwycięstwie nad rzeką Durbą, gdzie padł mistrz inflancki, Bernard Hornhusen i marszałek Bohel i wielka liczba komturów, rycerzy, imię Mendoga długo i daleko brzmiało sławą i chwałą. Pieśni go sławiły, kapłani starym polecali bogom. Wszak wrócił do nich. Niema na Litwie Krzyżaka, ni krzyża niemieckiego, — książę krwią obmywa ślad wody, co z rąk obcych polała mu skronie, i lud z nim razem toczy tę krew śmiało, krew nienawistną.

Potem niespodzianie książę na zamku stanął. Może chce wypocząć? Lecz Trojnat?... Książę na dźwięk tego imienia brwi marszczył, bladł, twarz odmieniał. Nie śmiano wymawiać go głośno. Wieści chodziły, że starli się z sobą. O co i kiedy? Nikt nie wiedział pewno, lecz że zgoda zerwana, świadczył powrót księcia, gdy Trojnat walczył dalej, a echo tej walki i zwycięstw świetnych niósł wiatr od za-

chodu. Pod Dynamündą poraził Krzyżaki, Dorpat zdobyty, Parnawa—gdzie dojdzie? Hej, gdzieby doszedł, gdyby syn Ryngolda był obok niego!

I imię Trojnata na wszystkich ustach, choć wymówić nie śmie go nikt przy księciu. Lecz Mendog wie o tem. Niedarmo czarów uczyli go Niemcy. Wie wszystko, słyszy myśli ludzkie. Straszny to książę i twarzą i wzrokiem. A co uczyni...

Dowmunt podobno przy boku Trojnata i obaj przysięgli nie spocząć, póki nie wytepią wroga do ostatniego płaszcza. A potem — na zdrajców kara.

A któż tutaj jest zdrajcą?

Książę śle posły, niewiadomo dokąd... Dziwni się ludzie na zamku zjawiają: bez płaszców białych, bez hełmu jasnego, a jednak Litwin wie, co to za goście.

Wie, i nie patrzy na zamek książęcy. Oczy odwraca.

A w zamku ponuro, jak w duszy księcia. Nie-nawiść, gniew, zazdrość wszystkie tam inne spaliły uczucia. Trojnata sławy oglądać on nie chce. Trojnata, co się równym mieni Mendogowi i wyższym może. Kto wie,—gdyby Zakon uległ istotnie...—Lecz tego nie będzie, póki on, Mendog, żyje.

Kto wyższy, silniejszy—obaczy Trojnat i Dowmunt obaczy. Ryngolda wnuki, co w stryju starszeństwa uznawać nie chcą. Wielki mistrz Werner, sam pismo mu przysłał, skruczę przyjmuje, przebaczyć obiecał, a jeśli żywym Trojnata dostanie, wielkich łask może spodziewać się książę.

Żywym... Niełatwo... Jednak...

Dzień był wrześniowy, pochmurny i wietrzny, ale Mindowe chłodu dziś nie czuje,—nie może tylko usiedzieć spokojnie, droga pociąga mu oczy i duszę. Na wieżę wyszedł drewnianą i patrzy.

Zmierzcha się prędko, krótki dzień jesienny, — lecz w dali widać — nie myli go oko — samotrzeć spieszy jeździec do zameczyska, przynagła konia. To goście czekani. Mindowe schodzi do wielkiej komnaty, gdzie ich przyjmować zwykł. Na służbę klasnął, wydał rozkazy. Sam gości przyjmie, nie trzeba nikogo. Do progu tylko przywieść przybyłych uczciwie.

Miecz ujął w dłoń i czeka. Krok słuchać rycerski, posłowie idą mistrza. Co niosą?

Dwóch weszło, stanęli.

— Zdrajco Mindowe, czy nas nie poznajesz?

Trojnat i Dowmunt!

— Za bogów, za ziemię, za krew braci — giń, zdrajco!

Mendog się nie broni. Dłoń wsparł na mieczu, lecz go nie podnosi, bratanków okiem zmierzył, czeka ciosu.

— Broń się! — krzyknął Trojnat.

Mendog uśmiechnął się gorzko, straszliwie.

— Od trucizny umieram, nie od miecza twego. Tu mi wyrosła — i wskazał na serce.

— Więc niech na zawsze ginie chwast przekłety — zakrzyknął Dowmunt, i miecz jego cienki przebił pierś stryja.

Upadł książę Mendog.

Stało się to roku 1263, w dniu 12 września. Zginął nie od miecza, lecz od trucizny, którą nosił w sercu.

Gorzkiej trucizny.



WNUCZKA KAZIMIERZA.

Pusto było i cicho na wawelskim zamku. Słońce styczniowe, chyląc się ku zachodowi, słabe rzucało blaski przez niewielkie i wąskie okna, cienie zaległy obszerne komnaty, podobniejsze w tem milczeniu i mroku do murów więzienia, niż do królewskiej siedziby.

Czyż nikt tutaj nie mieszka?

O nie,— wszak u podwoi straż czuwa uważna, snują się po dziedzińcu cicho pachółkowie, konie rżą w stajni, z okna wyjrzy czasem cały rój młodych, świeżych dziewczęcych twarzyczek albo oblicze poważnej matrony,—to znowu brzęknie szabla na krużganku i przesunie się postać wspaniała rycerza o dumnym czole, głębokiem spojrzeniu.

Więc gmach milczący ma swoich mieszkańców, skądże ta cisza? Czy to wyraz smutku albo obawy?

Nie, — na twarzy żadnej nie znać żałoby. Oblicza rycerzy poważne wielce, niekiedy surowe, ale nie trwożne ani zasepione, a lica dziewcząt? — Tysiące uśmiechów trzyma na wodzy tylko rozkaz woli: jakże tu śmiać się, gdy królowa milczy? jakże się cieszyć, kiedy ona gniewna, zniecierpliwiona — i smutna potrosze.

Smutna? Do tego przyznać się nie raczy, przed ludźmi zwłaszcza. Gniewna? Sama nie wie. Dotąd zamknęła się w dumnym milczeniu i nie chce wiedzieć, czy przeciw jej woli stanie otwarcie jaka wola inna. Na taką próbę nie stało jej męstwa do tej godziny, ale kto wie — kto wie.

Wszak od dzieciństwa przed Pańskim ołtarzem złączono rękę jej z ręką Wilhelma, dziecięce lata płynęły im razem, wspólne igraszki, chęci, smutki nawet łańcuchem wspomnień łączyły ich życia, tak krótkie jeszcze.

I stawał jej w myśli zamek ojczysty albo dwór wiedeński, tu i tam czuła się zawsze u siebie obok Wilhelma. Bo dobrze im było. Biegali razem po ścieżkach kwiecistych królewskich, sadów walczyli z pogany, karali winnych, zdrajców i zbrodniarzy, słuchali pieśni niemieckich śpiewaków, albo niekie-

dy spierali się żywo: Wilhelm surowy był, trudno zaprzeczyć, choć sprawiedliwy; ganił jej też nieraz zbyt miękkie serce, co łatwo przebacza,—to uzuchwala przestępcę nadzieją winy bezkarnej. Wilhelm był rycerzem, monarchą przyszłym i musiał zawczasu hartować serce, aby męskiem było i sprawiedliwem dla złych, jak dla dobrych, — lecz królowej rola może być inną: ona prosić może nawet za winnym w imię miłosierdzia.

Uśmiechnęła się do wspomnień dalekich i siadła w oknie młodziutka królowa. Któż jej odbierze te skarby pamięci, tę przeszłość całą? Surowi panowie nie chcą Wilhelma dopuścić na zamek, ale on przecież mężem jej zostanie. Kościół ich złączył i ojcowska wola, a ona słowa danego nie złamie.

Nie chcą dopuścić Wilhelma na zamek! To okrucieństwo. Wszak ma wszelkie prawa? Mężem go zwała od siedmiu lat życia.

I znowu obraz przeszłości tak żywo stanął w pamięci, że się uśmiechnęła. Widziała siebie dziewczynką maleńką w bogatej szacie, wlokącej się za nią, a obok Wilhelm w jedwabiach i złocie. Przed gorejącym od świateł ołtarzem stali oboje, — ka-

płan siwowłosy w stroju biskupim połączył ich dłonie, zamienił ich pierścionki i głosem poważnym słowa przysięgi mówił uroczyste.

Teraz żądają, aby przysięgała wiarę innemu. Daremne to chęci. Jadwiga wierną będzie Wilhelmowi, Jadwiga słowa danego nie złamie i nie pozwoli więzić się jak dziecko!

Powstała dumna, z rumieńcem na twarzy i blaskiem w oczach. To gwałt i bezprawie. Wszakże pobożny zakon Franciszkanów gościnne progi otwierał im chętnie jeszcze niedawno; tygodnie zaledwie dzieliła ją od tych jeszcze świeżych wspomnień, gdy w refektarzu przybranym odświętnie orszak Wilhelma spotykał wesoło jej dwór królewski. Nikt się nie ośmiewał opierać wtedy jej woli i chęci. Z bramy Wawelu wychodziła strojna, gwarna drużyna z muzyką i śpiewem, — z przeciwnej strony zmierzał piękny książę w orszaku panów rakuzkich i polskich. Kilku niechętnych groźnie i ponuro patrzeni z dala na takie spotkania, milczeli jednak.

Nie śmiano widocznie obrażać pana przyszłego i króla; — nie wszyscy przecież pragnęli na tronie widzieć dzikiego poganina z Litwy, co skrył się może przed panów poselstwem w knieje swe stare, do braci niedźwiedzi.

Wilhelm żartuje z takiego rywala. Jadwiga czuje się przy nim szczęśliwą, on ją obroni od panów srogości, ciężar korony on dźwigać pomoże, z nim wstąpi w progi Wawelu wesele, szczęście, swoboda. Raz skończyć potrzeba z tą niepewnością, wahaniami. — Tak, słusznie, — Wilhelm ma słuszość. Wszak polscy panowie sami mu radzą, sami dopomogą. Skoro raz stanie na wawelskim zamku, mężem Jadwigi uznany być musi — i kres niezgodom wszelkim, przebaczenie.

Śliczna twarzyczka królowej pobladła i spochmurniała pod wrażeniem nowych, najświeższych wspomnień. Czyż to nie zniewaga? Wilhelm uciekał z krakowskiego zamku niby złoczyńca, by nie stać się jeńcem wrogów zaciętych. Ledwie próg przestąpił komnat królewskich, już o tem wiedziano, — więc pilnowaną była niby więzień, ona, królowa! — Stronnicy Jagiełły spieszą, by ująć gościa dostojnego, co bez ich wiedzy na zamek się dostał. Na to Jadwiga nigdy nie zezwoli, chce stawić czoło — ale przyjaciele radzą ustąpić: ucieczka pewniejszą, — kosz z murów zamku zsuwa się ostrożnie, w nim księżę Wilhelm... jej gość, jej mąż przyszedł!

Oh, on powróci! — Ale nie powraca. Królowa

milczy, — łez okazać nie chce, — cierpliwie czeka, rozważa i sądzi.

Rozumie teraz, że zmierzyć się musi otwarcie i śmiało z przeciwnikiem. Nadeszła chwila. Więzieniem tu być nie chce. Bramy Wawelu zamknięte przed księciem z panów rozkazu—ona je otworzy,—ona w nie sama wprowadzi Wilhelma lub — kto wie — może nie wróci tu wcale.

Podniosła czoło dumne i spokojne, jeszcze przez chwilę stała nieruchoma, lecz twarz jej nagle spłonęła rumieńcem: czyż się obawia? czyż nie ma odwagi stanąć w obronie swego szczęścia i wolności? Wszak najuboższa z poddaneek jej może sercem i ręką swoją rozporządzić, a ona? ona? królowa?

Na ślicznych ustach uśmiech pojawił się smutny, lekko klasnęła w dłonie.

Z przybocznej komnaty w tej samej chwili weszły dwie niewiasty: jedna z nich dziecko, rówieśnica może piętnastoletniej królowej, a druga szczupła i blada lat średnich kobieta, z wyrazem woli niezłomnej na twarzy.

— Przechodźcie Hanno, wyjdziemy na miasto, — płaszcz mi podajcie, okryjcie się same, chłodno być musi.

Mówiła spokojnie do starszej z niewiast. Po twarzy kobiety rumieniec przemknął lekki,—w mgnieniu oka podano szaty. Jadwiga niedbale płaszcz zarzucony przycisnęła ręką i wyszły razem.

Blade słońca blaski konały na zachodzie, złoto-różowe obłoki świeciły jeszcze w górze, ale w murach zamku cień już panował. Jadwiga nie zważała na to: wiele samotnych i długich rozmyślań poprzedziło dzisiejsze jej postanowienie, lecz skoro je powzięła, nie cofnie się więcej. Jest w prawie swoim,—dla fantazyi panów, dla ich wymagań szczęścia się nie zrzeknie. Niegodną go byłaby, gdyby niedołącznie poddała się losowi. Jest młodą, jest dzieckiem, lecz czuć i pragnąć umie, umie sięgnąć po to, co upragnione...

Orszak królowej powiększył się wkrótce: uznała za stosowne, aby kilku dworzan wiernych i przywiązanych było u jej boku w tej stanowczej godzinie. Pod ich opieką spokojna i dumna mijała progi komnat, straż nie czyniła jej żadnego wstępu: któż się ośmieli sprzeciwić królowej?

I już za nimi długi kruzganek i schody, — przed nimi mur podwójny, co zamek otacza; śnieg uprzątnięto w dziedzińcu zamkowym i sucha droga

prowadzi do bramy, Jadwiga wszakże waha się przez chwilę... Zimowy powiew chłodzi rozpalone czoło i zapał dziecka: ona nie ustąpi, byle raz stanąć u boku Wilhelma; z nim razem będzie odważną i śmiałą, a teraz—lepiej uniknąć spotkania.

I cicho zwraca ku pomniejszej furcie w rogu dziedzińca. O byle stąd odejść! Potem nie wróci, chyba jak królowa, pani swej woli.

Minęli dziedziniec, od bramy kilka wschodów ją oddziela i kroków kilka. Lecz brama zamknięta, straż przy niej zbrojna i kłódki żelazne u zamku wiszą.

Zdumiała królowa, podniosła czoło: więc godzina walki teraz, w tej chwili i już nieuchronnie? Lepiej.

I z dumą drzwi otworzyć każe.

— Niewolno — odpowiada straż z pokorą w głosie.

— Niewolno? kto zabronił?

— Panowie.

— Mnież zabronią? królowej? Podajcie mi topór.

Straż przerażona rozkaz wypełnia. Ręka królowej śmiało podnosi narzędzie, którem rozkruszy żelazne wrzeciędzie, jeszcze sekunda — i skarb najcenniejszy zamku stracony nazawsze dla kraju, dla wielkich celów i wielkiej przyszłości.

Jeszcze sekunda.—Dlaczegóż zadrżała wzniesiona ręka młodziutkiej królowej? Starzec poważny u nóg jej przykleka, korny, lecz śmiały. Schyla głowę białą, która dziadowi jej służyła wiernie, a potem ojcu. To Dymitr z Goraja, wierny stróż skarbów starego zameczyska. Na czole jego, zoranem trudami, powaga męska, a w oczach natchnienie, na twarzy boleść wielka i surowa.

— O Pani—rzecze— wstrzymaj rękę śmiałą,— rozważ, co czynisz. Błagam cię w imieniu narodu twego. Wszak jesteś królową.

— Nie,— jestem więźniem — odparła Jadwiga. Koronę z ciernia uwić mi pragniecie.

— Korona królów często jest cierniową—przemówił starzec z głębokiem wzruszeniem — bo król, o pani, nie żyje dla siebie. Bóg go namaszcza, ażeby miał siłę szczęście narodu dźwigać na swych barkach, szczęściem je własnem okupić w potrzebie. To pomazaniec Boży,—nie dla szczęścia i rozkoszy, ale na trudy i krwawe ofiary. To wykonawca, woli Pana na tym świecie, więc Jemu oddać swą wolę powinien, a wtedy godnym jest łaski niebieskiej, co go wyniosła po-nad innych ludzi. Korona, Pani, to jest obowiązek wielki i święty, to potęga

z nieba, dana śmiertelnym, ażeby myśl Bożą sieli na ziemi. Jedno two słowo, miłościwa pani, i serc pogańskich miliony ku Bogu zwrócą się jedynemu. Jedno słowo twoje i dwa narody bratni złączy węzeł. Jedno two słowo, pani i królowo. Cierniowy wieniec zasługi przed tobą i szczęście ludzkie, znikome, zwodnicze. Wybieraj, pani, rozkaz twój bramę otworzy,—topór zbyteczny.

Z ręki opuszczonej z łoskotem upadł topór na kamienne schody... królowa stała z czołem kornie schylonem ku ziemi, w bolesnem zadumaniu; u nóg jej starzec klęczał.

— Powstań, Dymitrze z Goraja—rzekła nakoniec—dzięki za two słowa... Rękę mi podaj i prowadź do zamku. Kobieta byłam, stałam się królową. Bogu oddaję serce, On niechaj mną rządzi.

I szła do zamku poważna i cicha, wsparta na rękę starca. I zdała się wyższą i starszą razem, bo w tej krótkiej chwili dziecko się stało kobietą, dojrzałą, kobieta wzniosła się na szczyt ofiary, stała się świętą kapłanką—królową.

Mijały lata. Imię królowej Jadwigi jak hymn miłości brzmiało od morza do morza, na wschód

i zachód. Biednych, uciśnionych patronką była widomą na ziemi, odblaskiem łaski Boskiej, promieniem nadziei, różdżką pokoju i wzorem zasługi, cnoty i poświęcenia. Kosztem szczęścia swego, dziecięcych uczuć, odkupiła Panu miliony dusz pogańskich, osłoniła imienia Bożego puklerzem rozległe kraje od ognia i miecza okrutnego zakonu. I każdej godziny, z mgłą poranną, wieczorną, pośród nocnej ciszy i w blaskach słońca milion błogosławieństw płynęło w niebo, do podnóża tronu Pana Wszechświata, by łaski swej dary zlał na królowę, co była na ziemi Jego aniołem, namiestnikiem Jego dobroci i miłości.

I wielcy i mali, możni i biedni czoła uchylają przed nią, pełni podziwu, pełni uwielbienia. Ale królowa hołdów nie pożąda, wzrok jej zwrócony z miłością na ziemię, z tęsknotą w niebo. I życie jej całe jest wypełnieniem słów starca, którymi wskazał jej niegdyś zadanie królowej. Spełnić je pragnie, jako je pojęła, i wszystkie czyny, wszystkie dni jej życia, świadectwem są wielkości tej duszy szlachetnej, — karty historii spisały je wiernie z czcią i wdzięcznością.

Upłynęły lata.

(Wyjatek z Krzyżaków Sienkiewicza).

Wtem zaszedł wypadek, wobec którego inne sprawy straciły wszelkie znaczenie w ludzkich oczach.

Pod wieczór dnia 21 czerwca rozeszła się po zamku wiadomość o nagłym zasłabnięciu królowej. Wezwani medycy pozostali wraz z biskupem Wyszem przez całą noc w jej komnacie. Kasztelan krakowski, Jaśko Topór z Tęczyna, wysłał tejże nocy gońca do nieobecnego króla.

Nazajutrz rano wieść gruchnęła po mieście i okolicy. Był dzień niedzielny, więc tłumy napełniły wszystkie świątynie, w których księża nakazali modlitwy za zdrowie królowej. Po nabożeństwie rycerstwo, szlachta, oraz deputacye kupieckie udały się na zamek; cechy i bractwa wystąpiły z chorągwiami. Od południa nieprzeliczone roje ludu otoczyły Wawel, między którymi utrzymywali ład łucznicy królewscy, nakazując spokojność i ciszę. Miasto wyludniło się prawie zupełnie i tylko przez opustoszałe ulice przeciągały od czasu do czasu gromady okolicznego chłopstwa, które również już zwiedziało się o chorobie uwielbianej Pani i dążyło pod zamek.

Wreszcie w głównej bramie pojawili się biskup i kasztelan, z nimi zaś kanonicy katedralni, rajcy królewscy i rycerze. Ci rozeszli się wzdłuż murów, między lud, z twarzami zwiastującymi nowinę, zaczęli jednak od surowego rozkazu, aby powstrzymano się od wszelkich okrzyków, to bowiem mogłoby chorej zaszkodzić. Zaczem zwiastowali wszem wobec przyjście na świat córki królewskiej.

Nowina napełniła radością serca, zwłaszcza, gdy zarazem dowiedziano się, iż królowa ma się dobrze i wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Tłumy zaczęły się rozchodzić, albowiem przed zamkiem niewolno było krzyczeć, każdy zaś chciał pofolgować radości. Jakoż gdy wypełniły się ulice, prowadzące na rynek, ozwały się wnet pieśni i radosne nawoływania.

Nie trapieno się tem, że przyszła na świat córka. „Alboż źle było (mówiono), że król Louis nie miał synów i że królestwo dostało się Jadwidze? Przez jej to małżeństwo z Jagiełłą podwoiła się moc państwa, tak będzie i teraz. Gdzież szukać takiej dziedziczki, jaką będzie nasza królowna, gdy ni cesarz rzymski, ni żaden z innych królów nie posiadają tak wielkiego państwa, tak obszernych

ziem, ni tak liczego rycerstwa! Będą się dobijali o jej rękę najpotężniejsi monarchowie ziemi, będą się kłaniali królowej i królowi, będą zjeżdżali do Krakowa, a nam kupcom korzyść z tego wypadnie, nie mówiąc o tem, że nowe jakieś państwo, czeskie albo węgierskie, z naszym się królestwem połączy.“

Tak to między sobą mówili kupcy, i radość stawała się z każdą chwilą powszechniejsza. Uczto-
wano w domach prywatnych i w gospodach. Rynek zaroił się od latarni i pochodni. Po przedmieściach podkrakowscy kmiecie, których coraz więcej ściga-
gało do miasta, porozkładali się obozem przy wózkach. Żydzi rajcowali przy synagodze na Kazimie-
rzu. Do późna w noc, prawie do brzasku, wrzało na rynku, szczególnie koło ratusza i wagi, jak w czasie wielkich jarmarków. Udzielano sobie na-
wzajem wiadomości, posyłano po nie na zamek i oblegano tłumnie wracających z nowinami.

Najgorsza z nich była ta, że ks. biskup Piotr chrzczył dziecko tej samej nocy—z czego wnoszono, że musi być bardzo słabe. Doświadczone mieszcзки przytaczały jednak wypadki, w których dzieci na-
wpół martwe odzyskiwały po chrzcie siłę do ży-

cia. Więc pokrzepiano się nadzieją, którą wzmagało imię nadane dziewczynce. Mówiono, iż żaden Bonifacy, ani żadna Bonifacya nie może umrzeć zaraz po urodzeniu, gdyż przeznaczono im jest coś dobrego uczynić,—w pierwszych zaś leciech, tembardziej w pierwszych miesiącach życia dziecko nie może czynić ni źle ni dobrze.

Następnego dnia jednak przyszły z zamku wiadomości niepomysłne i o niemowlęciu i o matce, i wzburzyły miasto. W kościołach przez cały dzień panował tłok, jak w czasie odpustu. Posypały się wota za zdrowie królowej i królowny. Widziano ze wzruszeniem ubogich wieśniaków, ofiarujących ćwiartki zboża, jagnięta, kury, wianuszki suszonych grzybów lub krobie orzechów. Płynęły znaczne ofiary od rycerstwa, od kupców, od rzemieślników. Rozesłano gońców do cudownych miejsc. Astrologowie badali gwiazdy. W samym Krakowie nakazano uroczyste procesye. Wystąpiły wszystkie cechy i wszystkie bractwa. Całe miasto zakwitło chorągwiami. Przez bramy miejskie zjeżdżały coraz nowe tłumy z okolicy.

I tak płynął dzień za dniem wśród ustawicznego bicia w dzwony, wśród gwaru po kościołach,

procesyi i nabożeństw. Lecz gdy upłynął tydzień, a i dostojna chora i dziecko żyły jeszcze, zaczęła otucha wstępować w serca. Zdawało się ludziom rzeczą niepodobną, aby Bóg zabrał przedwcześnie władczynię państwa, która tyle dla niego uczyniwszy, musiałaby pozostawić niedokończone ogromne dzieło,—i apostołkę, która ofiarą własnego szczęścia przywiodła do chrześcijaństwa ostatni pogański naród w Europie. Uчени wspominali, ile uczyniła dla Akademii, duchowni—ile dla chwały Bożej, — statystyci — ile dla pokoju między chrześcijańskimi monarchami, prawoznawcy — ile dla sprawiedliwości, biedni — ile dla ubóstwa, i wszystkim nie mieściło się w głowie, iżby życie tak potrzebne dla królestwa i świata całego, mogło być przedwcześnie przecięte.

Tymczasem 13 lipca dzwony żałobne oznajmiły śmierć dziecka. Zawrzało znów miasto i niepokój ogarnął ludzi, a tłumy powtórnie obległy Wawel, dopytując o zdrowie królowej. Lecz tym razem nikt nie wychodził z dobrą nowiną. Owszem, twarze panów, wjeżdżających na zamek, lub wyjeżdżających przez bramy, były posępne i z każdym dniem posępniejsze. Mówiono, że ks. Stanisław ze Skarbi-

mierza, mistrz nauk wyzwolonych w Krakowie, nie odstępował już królowej, która codziennie przystępowała do Komunii. Mówiono również, że po każdym przystąpieniu komnata jej napełnia się światłem niebieskim. Niektórzy widzieli ją nawet przez okna, ale widok ten raczej przerażał oddane pani serca, jako oznaka, że już rozpoczyna się dla niej życie ziemskie.

Niektórzy nie wierzyli jednak, aby się mogła stać rzecz tak straszna, i ci krzepili się nadzieją, że niebo poprzestanie na jednej ofierze. Tymczasem w piątek rano, 17 lipca, gruchnęło między ludem, iż królowa kona. Kto żył, spieszył na zamek. Miasto opustoszało tak, że zostali w nim tylko kalecy albowiem nawet matki z niemowlętami pospieszyły do bram. Sklepy były pozamykane, nie gotowano jadła. Ustały wszystkie sprawy, a natomiast pod Wawelem czerniało jak morze ludu niespokojne, przerażone, ale milczące.

Wtem o godzinie 1-ej z południa ozwał się dzwon na katedralnej wieży. Nie zrozumiano odrazu, co to znaczy, jednakowoż niepokój począł podnosić włosy na głowach. Wszystkie głowy i wszystkie oczy zwróciły się ku wieżycy, na kołyszący

się z coraz większym rozmachem dzwon, którego żelazny jęk zaczęły powtarzać inne w mieście: u Franciszkanów, u św. Trójcy, u Panny Maryi — i hen dalej, jak miasto długie i szerokie.

Zrozumiano wreszcie, co znaczą owe jęki; dusze ludzkie napełniły się przerażeniem i takim bólem, jakby owe spiżowe serca dzwonów uderzały wprost w serca wszystkich obecnych.

Nagle na wieży ukazała się czarna chorągiew z wielką trupią głową pośrodku, pod którą bielały dwa złożone na krzyż piszczele ludzkie. Wówczas ustała wszelka wątpliwość: królowa oddała ducha Bogu.

Pod zamkiem rozległ się ryk i płacz stu tysięcy ludzi i pomieszał się z ponurymi odgłosami dzwonów. Niektórzy rzucali się na ziemię, inni darli na sobie szaty lub rozdrapywali twarze, inni spoglądali na mury w niemem osłupieniu, niektórzy jęczeli głucho, niektórzy wyciągając ręce ku kościołowi i komnacie królowej, wzywali cudu i Bożego miłosierdzia, inni powtarzali, jęcząc i zalewając się łzami: Jezu, Jezu, Jezu!

Tłumy chciały wejść na zamek, aby spojrzeć raz jeszcze na ukochaną twarz Pani. Nie puszczono

ich, ale im przyobiecano, że wkrótce ciało będzie wystawione w kościele, a wtedy każdy będzie mógł oglądać je i modlić się przy niem. Zaczem pod wieczór posępne gromady zaczęły powracać ku miastu, opowiadając sobie o przyszłym pogrzebie i cudach, które dziać się będą przy ciele świętej pani i królowej.

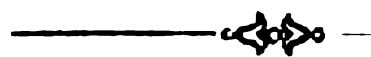
W katedrze na Wawelu ustawiono ciało królowej na podwyższeniu, urządzone w ten sposób, że szersza część trumny, w której spoczywała głowa zmarłej, znajdowała się znacznie wyżej od dolnej. Urządzono tak umyślnie, aby lud mógł lepiej widzieć twarz królowej. W katedrze odprawiało się nieustające nabożeństwo: przy katafalku płonęły tysiące świec woskowych, a wśród tych blasków i wśród kwiatów leżała Ona, spokojna, uśmiechnięta, podobna do białej róży mistycznej — ze złożonemi w krzyż rękoma na laurowej sukni.

Lud widział w niej świętą, — przyprowadzano do niej opętanych, kaleki, chore dzieci — i raz wraz w środku świątyni rozlegał się krzyk jakiejś matki, która na twarzy chorego dziecka spostrzegała rumieńce, zwiastuny zdrowia, to jakiegoś paralityka,



który nagle odzyskiwał władzę w schorzałych członkach.

Wówczas serca ludzkie przejmował dreszcz, wieść o cudzie przelatywała kościół, zamek, miasto, i ściągała coraz większe roje nędzy ludzkiej, która od cudu tylko mogła spodziewać się poratowania.



CHRZEST JAGIEŁŁY.

(podług Szajnochy, tom 7).

Dzień 15 lutego 1386 przeznaczono na uroczysty chrzest księcia Litwy. Oprócz Jagiełły przystępowali do tego obrzędu trzej rodzeni jego bracia. Wigund, Korygiełł i Swidrygiełł, tudzież stryjeczny Witold, po raz trzeci podobno w życiu poddający się tej ceremonii.

Dopełniali obrzędu arcybiskup gnieźnieński, Bożanta i biskup krakowski, Jan. Wielki mistrz krzyżacki, Czolner, zaproszony na chrzestnego ojca dla W. Ks. Jagiełły, odmówił tej przysługi, odpowiadając podskarbiemu Dymitrowi, który w poselstwie jeździł do Malborka, iż zbytnia odległość drogi nie pozwala mu opuszczać na czas tak długi państw zakonnych.

Na chrzcie świętym Jagiełło przyjął imię Władysława, Wigund Aleksandra, Korygiełło Kazimierza, Swidrygiełło Bolesława, a Witold także Aleksandra. Mnodzy panowie i dworzanie księcia, przystępując wraz po nim do tego sakramentu, dodali ceremonii okazałości i powagi.

Dla obecnej podczas obrzędu królowej Jadwigi niemniej ważną i wzruszającą była ta uroczystość: wszak to pierwsze następstwo jej szlachetnej ofiary, pierwszy listek zasługi, wstęp do nowego życia, bogatego w czyny i skutki doniosłe. Chrzest ten zresztą poprzedzał ślub królewskiej pary, naznaczony na 18 lutego.

Władysław umiał czuć szczęście chwili, która go wreszcie u stóp ołtarza postawiła z Jadwigą. Obrączka ślubna, którą wtedy dawnego łupieżcę Polski połączyli kapłani z dziedziczką korony Piastów, nie zeszła mu z palca po koniec życia. «Pomiędzy wszystkimi znikomymi skarbami tego świata—(są to własne wyrazy Władysława)—była mu ona najkosztowniejszym klejnotem».

Dopiero trzeciego dnia po koronacyi, która odbyła się 4 marca, rozpoczęły się gody weselne na zamku. Zaraz po mszy zasiedli oboje królestwo,

książęta, panowie i panie, prałaci i rycerstwo dookoła stołów biesiady. Zwyczajem staropolskim nie było tam wymuszenia ani sztywnego ceremoniału. Zwyczaj czasu zgromadzał niezmierną ilość gości. Przy bankiecie królewskim zasiadało po 500 panien. W opiętych barwistymi kobiercami komnatkach wznosiły się mnogie stoły, nakryte kilku obrusami, zdejmowanemi po różnych daniach. Na stołach świeciły szczerozłote, pozłacane, srebrne i kryształowe misy, pułhary, kubki, złote i srebrne sztucce, kosztowne doniczki z kwieciem i ziołami «od niebezpieczeństwa trucizny».

U wszystkich stołów krzątały się roje dworzan królewskich, jakich np. u dworu Kazimierza W. służyło do pół tysiąca. Zagajano ucztę ceremonią powszechnego umywania rąk. Każde nowe danie wnosili stolnicy pod przewodnictwem trębaczy. Następował z kolei nieskończony szereg mis i półmiseków. Przy mniej uroczystych ucztach liczono u stołów Jagiełłowych po 60 i kilka dań. Widziano tam wszelkiego rodzaju potrawy, przysmaki i napoje, zwierzynę i kurczęta, ryby i ptaszki, „pierogi“, pasztety, torty, pozłacane konfekty i owoce,—wina, miodów i piwa co niemiara.



• W przestankach uczty przyśpiewywali śpiewacy i odgrywały się różne krotchwile stołowe. Wchodziły np. z śpiewem dziwnie poprzystrajane maski, płaśała grupa tancerzy i tancerek, wjeżdżali na koniach kuglarze i linoskoczki, występowało niekiedy dwóch walczących z sobą rycerzy.

Ale najwłaściwsza weselnym godom zabawa szła dopiero po uczcie. Rozpoczynały się natenczas owe śpiewne tańce i pląsy. Tańcom w komnatach wtórzły naprzemian rycerskie pląsy na koniach, szumne turnieje i gonitwy na dziedzińcu zamkowym.

Przez wiele dni obchodzono w ten sposób wesele króla Władysława w Krakowie.

Pierwszem teraz zadaniem chrześcijańskiego pana było nawrócenie ziem swoich dziedzicznych, wprowadzenie wiary do pogańskiej Litwy.

Początek roku 1387—sprowadził całą wyprawę apostolską do Wilna.

Stołeczny gród litewski składał się wtedy z dwóch różnych połowic: jedną połową było Wilno małe, ale warowne i zamożnie zabudowane, przez pogan zaludnione, Wilno książęce;—drugą—miasto rozległe, ale lichej budowy, po największej

części przez cudzoziemców zamieszkane, Wilno chrześcijańskie.

Pierwsze, w samo kolano Wilii i Wilny wsunięte, tworzyło wielką warownię, złożoną z dwóch różnych zamków: Wyższego na Turzej górze i Niższego czyli Krzywego u jej podnóża. Tu się znajdowały mieszkania książęce i gmachy dworskie, wielki posąg Perkuna, wieża, z której kapłani pogańscy przemawiali do ludu, wreszcie na tak zwanej świętej łące Świntaroga, naczelna świątynia pogańska, gdzie płonął wieczysty ogień Znicz, główna świętość narodu.

W kierunku południowym, w górę od nadrzecznej połowy miasta, na nierównie szerszej przestrzeni, rozlegało się raczej kilka wiosek niż jedno wielkie miasto, kupiły się gromady ubogich drewnianych domków, bez śladu ulic, przedmieść lub murów miejskich; kwitnęły pomiędzy niemi przestronne łąki, pola i ogrody. Była to chrześcijańska połowa Wilna, zaludniona przez cudzoziemców.

Gdy więc Jagiełło z orszakiem swoim apostolskim wjechał na «Dolny zamek», jedna tylko połowa Wilna była do odrodzenia chrztem świętym.

Przystąpiono niezwłocznie do ważnego aktu na-

wrócenia, przez który zgasł ostatni kaganek bałwochwalstwa w Europie, w powszechnym blasku jednego wielkiego słońca. Akt ten nie był jednakże dla W. księcia i głównego apostoła Litwy jedynie krokiem mądrej polityki, ale wypływał z głębi przekonania duszy, przejętej szczerą i gorącą wiarą. Świadczy o tem wymownie całe życie Jagiełły.

Pobożność jego za wzór służyć mogła. Szczątek krzyża Pańskiego w klasztorze na Łysej Górze był dla niego przedmiotem najpokorniejszego po wszystkie dni uwielbienia. Przed ważniejszymi wypadkami swoich rządów zwykł on być pielgrzymować pieszo na górę, gdzie się przechowywała ta świętość chrześcijańska. Podczas bitwy widziano go zazwyczaj na kolanach przed krucyfiksem. W podróży towarzyszył mu ołtarz, od duchowieństwa chrześcijańskiego zawsze cierpliwie znosił najboleśniejsze zarzuty.

Gorąco pragnąc załatwić prędko i pomyślnie sprawę nawrócenia swych krajów dziedzicznych, postanowił za radą panów i duchowieństwa wszelkich użyć ku temu środków: namowy, zachęty i zniewolenia.

Okazało się wkrótce, iż najpomyślniej działały

środki zachęcające, nagrody za chrzest przyjęty. I cóż dziwnego. Gdy chrześcijanie pierwszych wieków zazwyczaj męczeństwem przypłacali swoje odrodzenie w Chrystusie, Litwa pogańska, a zwłaszcza bojarstwo litewskie, otrzymywało za nie najcenniejsze swobody, pierwszą podstawę bytu obywatelskiego. Oddzielnym aktem Litwinom chrześcijanom zapewnia książę własność majątku, upoważniając ich do rozporządzania nim podług woli; zapewnia im następnie spiesznią sprawiedliwość sądową, daje prawo wydawania za mąż córek i najbliższych krewnych.

Było to zapewnienie wielkich nagród dla nowych chrześcijan, jeśli weźmiemy pod uwagę, że dotąd w Litwie książę był jedynym panem wszelkiej ziemi i nieograniczonym władcą jej mieszkańców, tak, iż ojciec bez woli jego nie mógł rozporządzać losem córki.

Spisano akt niniejszy w sam popielec, 20 lutego 1387, przywiesili doń pieczęcie wszyscy obecni książęta, litewscy, polscy i szlascy, tudzież urzędnicy koronni.

Rozumie się, iż lud prosty, poddańczy, niewolnicy nic nie uzyskali tym listem, dla nich jednakże

nie mniej poważną zachętę do przyjęcia chrześcijaństwa stanowiły przygotowane na podarunki chrzestne białe wełniane szaty.

Obok tego ogłoszono i środki przymusu, zapowiadając głośno, iż ktokolwiek sprzeciwi się książęcemu rozkazowi przyjęcia nowej wiary, będzie do niej zmuszony karami cielesnemi.

Wówczas przystąpiono do dzieła.

Z woli księcia zwołano wszelkie okoliczne pogaństwo do Wilna i przedstawiono mu potrzebę zrzeczenia się dawnych baśni. Zdumiona Litwa wzdrygnęła się na to żądanie, mieniąc je niewdzięcznością i grzechem względem przodków. Poważną też pobudkę ich niechęci stanowiła obawa zemsty bogów pogańskich. Przedewszystkiem należało przekonać ludność o ich nieudolności i nicości. W tym celu rzucili się chrześcijanie z zapałem do obalania bałwochwalczych świętości. Zalano Znicz, wieczyste ognie pogaszono. Padły pod siekierą święte dęby, powybijano święte węże i jaszczurki.

Przypatrując się tej ruinie, pogaństwo zawodziło wielkim i żałobnym płaczem, — ale innego zgoła nie stawiało oporu: rozkaz książęcy spotykał tylko łzy i jęki, « zresztą nikt nie śmiał pisnąć » — mówi

naoczny świadek. A gdy się przekonano, iż wola księcia jest stanowczą, gdy obaczono, iż bóstwa pogańskie dają się bezkarnie gasić, ścinać, zabijać, jedni ochłonęli z trwogi, w innych zachwiała się wiara zabobonna i oświadczone, iż lud chce się ochrzcić.

Nastąpiło nauczanie zasad wiary. Król pobożny gorliwie pomagał nauczycielom duchownym. Najwięcej dziwiła pogan nauka o jednym Bogu. Tak wielu bogów okazało się bezwładnymi, a jeden miałby większą mieć władzę? Nie czas było jednakże na rozumowania. Wkrótce uznano uczniów za przygotowanych i zaczęto chrzcić ich z osobna. Każdy nowochrzczeniec dostawał białą szatę wełnianą. Strój ten bogaty w oczach biednego Litwina, uszczęśliwił nędzę pogańską. W oka mgnieniu rozniosła się po kraju wiadomość o darze chrzestnym. Każdy mieć go pragnął, każdy się pragnął ochrzcić.

Zewsząd zbiegały się tłumy pogaństwa, szczupła stosunkowo garstka duchowieństwa nie mogła podołać ochotnikom. Należało tymczasem korzystać z powszechnego zapалу i natchnienia. Wówczas apostołowie chwycili się nowego środka: zbierano pogaństwo w osobne gromady męskie i żeńskie i

chrzczono je razem, przez pokropienie wodą święconą. Każda gromada męska albo żeńska otrzymywała jedno i toż samo imię świętego albo świętej. Powstały tym sposobem naraz całe setki Stanulów, Piotrulisów, Katrin albo Jadziuł.

Możniejszych obok tego chrzczono wciąż z osobna, i ci z ochotą biegli po wiarę i dary. Żupany chrzestne podbiły serca bogaczów i ubogich, panów i niewolników. W powszechnem ubieganiu się o nie, któż pewnym być może, czy jedni i ci sami, nie pojmując dostatecznie ważności świętego obrzędu, nie pozwalali chrzcić się kilkakrotnie, by więcej cennych tych skarbów pozyskać?

Wiedziano z góry, że chrześcijanami w rzeczywistości tego wyrazu znaczeniu, mogą stać się dopiero dzieci i wnuki w ten sposób ochrzczone. Na razie chodziło głównie o dopełnienie formalności, która nauce i wpływowi chrześcijańskiemu otwierała szerokie pole. Był to siew dla przyszłości.

Takim więc cichym, łagodnym sposobem zajaśniało nad Niemnem jasne światło prawdy. Po ochrzczeniu pogańskiej połowy Wilna i okolic, w połowie marca udał się Jagiełło w podróż po kraju. Towarzyszyło mu w niej duchowieństwo, a

w każdym miejscu pobytu powtarzały się wypadki wileńskie. Pobożny król nie tylko kazaniami dopomagał kapłanom chrześcijańskim, ale sam chrztu udzielał, jako pomazaniec Boży, a książętom i panom polskim toż samo czynić kazał.

Wszędzie burzono świątynie pogańskie, stawiano krzyże i kaplice, ogłaszano rozporządzenia monarchy, ustanawiano potrzebnych kapłanów.

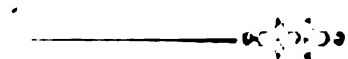
Trwał ten objazd kilka miesięcy, a gdy wreszcie Jagiełło opuścił Wilno i Litwę, aby powrócić do Polski, pozostawił w kraju nawróconym zmienione wszystko: ziemię, wiarę, język i życie społeczne. Ziemia, zacieniona dotychczas tysiącem gajów świętych, teraz wyrąbanych i wytrzebionych, zaczęła wyjaśniać się coraz przestroniejszemi polanami, przeistaczającemi się w żyzne role. Na tych polach świeciły pozłociste krzyże, na zrębie gajów świętych coraz głośniejsze z ust kapłanów brzmiały pieśni i modły w nieznanym języku; po chatach, dworach, pałacach bojarów znikwały ślady ciemnoty, barbarzyństwa, niewoli, miejsce ich zajmowała zewnętrzna ogłada, poczucie praw swych, pragnienie swobody.

Wprawdzie młodzińcze chrześcijaństwo, jak

wszędzie, tak i tu walczyć musiało ze starymi zabobony, zakorzenionymi zbyt głęboko wśród ludu, lecz było to objawem przejściowym i nieuniknionym i podniecało do tem większej gorliwości zarówno duchowieństwo, jak samego króla. Jagiełło przez czas cały swego panowania z niezmordowaną pieczołowitością czuwał nad ugruntowaniem i szerzeniem nowej wiary, sam biorąc udział we wszystkich obrzędach, procesyach, jakie podczas obecności jego przypadały, słowem, czynem i przykładem pociągając lud swój ku świętej prawdzie, która jak słońce po wiekowej nocy zajaśniała wreszcie nad znękanym krajem.

I szło z nią błogosławieństwo i spokój, bezpieczeństwo i powaga i potęga. Od ubogiego kmiotka wszystkie stany odczuły wkrótce ten wpływ dobroczynny, jak odczuwają młode pędy i gałązki wpływ wiosennego słońca. I rozgrzewały się serca miłością i otwierały jak pączki na wiosnę ku wszelkiej prawdzie i wszelkiej światłości. Słowo Boże zbudziło ze snu barbarzyństwa setki tysięcy ludzi, dla których nastąpił pierwszy dzień życia nowego i bytu, przez bramę prawdy wejście na drogę postępu i chwały, która prowadzi do nieśmiertelności.

Lud barbarzyński odrodził się w nowej postaci chrześcijańskiego narodu, z gwiazdą powołania, ku której dążył odtąd w imię Boże.



BITWA POD BERESTECZKIEM.

(podług Kubali.)

W obozie pod Sokalem wielkie zgromadzono siły, król Jan Kazimierz przebywał w nim od dwóch tygodni, nie mógł wszakże zdecydować się na krok stanowczy: czekać na nieprzyjaciela czy wyruszyć naprzeciw niemu.

Wieczorem, kiedy ognie zapłonęły na wzgórzach, a czeladź rozbiegła się z końmi na paszę, słyszałeś zewsząd surmy i wiwaty po namiotach panów, którzy młodszą szlachtę hojnie u siebie gościli. Rankami odbywały się przeglądy, które przepychem olśniewały cudzoziemców.

Występowały wtedy pułki jeden za drugim. Szedł naprzód dwór królewski, strojny i świetny, pod złoto-haftowanemi chorągwiami, konno, piórno i bogato, królewskie chorągwie pancerne z skrzy-

dłami białemi, w półkirysach złotem szmelcowanych, tygrysy i lamparty na grzbiecie.

Tuż za dworskimi chorągwiami ujrzałeś czoło, rdzeń, sławę i pychę wojska: husaryę w całej okazałości. Kipiały od strusich piór kity na głowach końskich, na hełmach i na skrzydłach rycerzy; pędziły rotę szumno, jak orszak aniołów, w zbrojach srebrzystych, szumiały i brzęczały skrzydła na żelaznych ramionach; lśniły od drogich kamieni końskie wywroty, pancerze, pałasze perskie i tureckie hafty na siedzeniach: rzucały się w podskokach konie arabskie i dzianety, w czaprakach frandzlistych, barwnych i bogato haftowanych. Każda chorągiew inaczej strojna i zbrojna. Ponad hełmami posuwał się las kopii, strojnych w różnobarwne proporce, lśniących ostrymi groty.

Za husaryą pomykali petyhorcy, lżejsi i mniejszego proporca; dalej szły chorągwie z różną strzelbą, jedne pancerne, inne lekkim łukiem zbrojne, do czat, podjazdów. Skrzydło każdej rotę zawodził towarzysz weteran z chorągwią w ręku.

Za temi chorągwiami ciągnęło pospolite ruszenie: województwa, ziemie i powiaty,—strój barwny we wszystkie kolory tęczy, każdy inaczej zbroj-

ny, inaczej strojny i na przeróżnych koniach. Nikt nie mógł mieć wyobrażenia, jakiej rasy, maści, jakich własności konie istniały na świecie, kto nie widział pospolitego ruszenia.

Nakoniec szła rajtarya przy strusich piórach i w kapeluszach z wysokim grzebieniem. Za łanową piechotę armaty, dalej prochy, granaty, kule ogniaste w osobnych wozach, wozy na rydle i motyki, a przy nich żołnierze z pikami.

Występowały pułki, regimenty i chorągwie jedne po drugich, a z powrotem do obozu spisywał je przy moście na Bugu Zygmunt Przyjemski, generał artylerji i pisarz wojskowy, odbierając od każdego rotmistrza raport na piśmie, który królowi oddawał.

Sił więc nie brakowało, lecz wzajemnego zaufania i jedności. Król niedowierzał starszyźnie, bezustannie różniącej się między sobą w zdaniu, wojsko posądzało króla o brak doświadczenia. Szczęściem w obozie znajdowało się dwóch ludzi, zdolnych kraj wyprowadzić z toni ostatecznej: Pierwszym był wojewoda ruski, ks. Jeremi Wiśniowiecki,—ten stał na uboczu, ale słowa jego w stanowczej chwili były zawsze hasłem i rozkazem dla

wszystkich. Drugim był mało znany porucznik hetmana w. k. Stefan Czarniecki, który jednak z duiem każdym rósł w wpływ i znaczenie. To też dla pierwszego z nich bitwa pod Beresteczkiem była pysznym odblaskiem zachodzącego słońca, dla drugiego zorzą wschodzącej sławy bohatera.

Nadeszła wreszcie wiadomość, która poruszyła wszystkich, wieść, że orda połączyła się z Chmielnikiem, który niezwłocznie popsuł przeprawy i pomyka się ku Krzemieńcowi. Nowiny te nie pozwalały już wątpić, że połączone siły nieprzyjaciół przejdą Styr pod Beresteczkiem i staną wkrótce pod Sokalem.

Natychmiast zebrał król radę wojenną. Brali w niej udział wszyscy ministrowie i senatorowie, kasztelanowie i starostowie, wyżsi oficerowie, inżynierowie i urzędnicy wojskowi. Obaj hetmani, a z nimi większa część generałów i dowódców oświadczyli stanowczo, że należy pozostać na miejscu, obwarować jeszcze silniej obóz i oczekiwać przybycia nieprzyjaciela.

Wbrew zdaniu innych dowódców upierał się Stefan Czarniecki i radził ruszyć pod Beresteczko. Słuchano go z niecierpliwością, patrzano nań z nie-

nawiścią, ale uwaga króla i kilku starszych generałów zmuszała do spokojnego roztrząsania jego dowodzeń.

Przez trzy dni zbijał Czarniecki zwycięsko argumenty swoich przeciwników, a dowodzenia jego zrozumiałe były dla każdego prostego żołnierza. Pozostać pod Sokalem, znaczyło kraj przed sobą pozostawić na pastwę nieprzyjacielowi i utrzymać pozycję niedogodną do bitwy polnej i ogołoconą z żywności. Pod Beresteczkiem przeciwnie, było miejsce do boju sposobne, które dawało wszelkie szanse zwycięstwa, bo nieprzyjaciel, choćby był trzy i cztery razy liczniejszym, nie mógł sił swoich rozwinąć.

Stało na tem, że wojsko ruszy pod Beresteczko, kiedy Stefan Czarniecki wystąpił z drugim, śmielszym wnioskiem, aby ruszyć pod Beresteczko komunikiem t. j.: aby wozy i czeladź pod Sokalem zostawić.

Aby zrozumieć propozycję porucznika, trzeba sobie wyobrazić, co to były te wozy i czeladź obozowa. Każdy szlachcic, nawet mniej zamożny, brał z domu namiot, zbroje i przybory wojenne, żywność dla siebie, sług i koni w takiej ilości, aby na

czas kampanii dostatecznie był zabezpieczony od głodu. Gościńców bitych wówczas nie było, konie grzęzły w błocie, w piasku lub czarnej ziemi, wozy więc musiały być małe i lekkie. Dlatego najbiedniejszy szlachcic brał ze sobą dwa wozy chłopskie, 3 lub 4 konie i dwóch służących. Ileż brał ten, co nie miał powodu odmawiać sobie wygody? Panowie ciągnęli z całymi taborami do obozu. Naoczny też świadek naliczył pół miliona wozów pod Sokalem, a tem samem pół miliona sług i półtora miliona koni na 40,000 szlachty, 20 kilka tysięcy łańowych i 36,000 regularnego wojska, nie licząc królewskiego dworu.

Tabor tak wielki uniemożliwiał każdy energiczniejszy ruch wojenny, a ponieważ niepodobieństwem było w takiej masie ludzi i koni utrzymać należyty porządek, groziło przeto wielkie niebezpieczeństwo w razie zbrojnego napadu nieprzyjaciela.

Z tej przyczyny żądał Czarniecki pozostawienia wozów i koni w obozie. Oparła mu się jednak cała szlachta, twierdząc, że pozostawienie takiego tłumu czeladzi bez dozoru i pieczy wojska, doprowadziłoby ją do buntu i rabunku własnych panów, jak to już nieraz bywało.

Dnia 15 czerwca opuszczono obóz, a 19 stanął cały pochód nad Styrem. Kilka dni trwała przeprawa przez rzekę i rozłożenie dogodnego obozu pod Beresteczkiem. Miejsce to miało tę wielką korzyść, że w okolicy było podostatkiem paszy dla koni, i, że wojsko królewskie mogło się w razie bitwy swobodnie rozwinać, podczas gdy nieprzyjaciel miał teren węższy, nierówny i błotnisty, tak, że poważna liczba raczej mu przeszkadzała niż pomagać mogła.

Chodziło teraz o to, by dowiedzieć się coś o Chmielnickim; wysłano na czele podjazdu człowieka, którego zdolności budziły bezwarunkowe zaufanie, daremnie jednak wyglądano wieści.

A tymczasem Chmielnicki, aby ukryć siły i plany swoje przed królem, rozdzielił wojsko na liczne tabory, oddalone kilkumilowym odstępem od siebie. Żołnierze, znajdujący się w jednym taborze, nie wiedzieli, gdzie się drugie tabory znajdują, a wódz ich umiejętnem rozstawieniem tak umiał maskować swoją pozycję, że podjazdy królewskie natrafiwszy nawet na który z jego taborów, nie wiedziały, czy mają przed sobą odosobniony oddział kozacki, spieszący do głównej armii, czy też część głównej si-

ły Chmielnickiego. Nawet jeńcy nie mogli dać żadnych objaśnień ani o reszcie wojska, ani o samym hetmanie.

W namiotach wodza stały beczki złota i srebra na zapłacenie ordy, w kancelaryach jego znajdowali się wyżsi urzędnicy; żywności, broni i amunicji było podostatkiem,—co dzień nadchodziły najpomyślniejsze wieści, wszystko wróżyło mu zwycięstwo.

Tylko człowiek, który stworzył tę potęgę, zdawał się nie troszczyć o nic...

Wszystkie działania wojenne zależały od tego, czy Chmielnicki był pijany czy trzeźwy. Od tego również zależała karność i posłuszeństwo w obozie. Kiedy on pił, piło i wojsko całe. Nie było wtedy mowy o posłuszeństwie; pułkownicy chowali się po namiotach, kupy chłopstwa rabowały po obozie. Zdawało się, że niema siły, któraby mogła przywrócić porządek, dopóki on nie otrzeźwiał.

Lecz kiedy otoczony władzkami, krzyżami, światłem, wśród śpiewów, dzwonów, kadzideł i całej pompy kościelnej, w czerwonym stroju, w czapce książęcej na głowie wyszedł z namiotu i ponurem okiem powiódł dokoła siebie — natychmiast powra-

cały porządek i posłuszeństwo. Truchlało wszystko, kiedy na czele pułkowników przebiegał szeregi, kiedy szalał, ryczał jak burza, porywał winnych na śmierć, straszył ludzi i zwierzęta swoim okropnym głosem, czerwoną twarzą, krwawemi oczyma i spienionemi usty.

Na wieść o zbliżeniu się ordy, prowadzonej przez sułtana Nuradyna, Chmielnicki ze wszystkimi pułkownikami ruszył na spotkanie chana, 8 czerwca spotkał się z nim i wjechał do tatarskiego obozu wśród radosnych okrzyków ordy.

Był to szczęśliwy dzień dla Chmielnickiego. Wielki chan wojsk nogajskich, Islam Girej, sułtani bracia jego: Gałga, Amurat i Nuradyn, ze wszystkimi agami i murzami w 100,000 wyborowej ordy stali na jego usługi. Konie i ludzie zdrowi, karność wzorowa, w obozie żywności podostatkiem.

Po powrocie do siebie, Chmielnicki zgromadził wszystkie tabory i oczekiwał przybycia chana, który się zapowiedział z odwiedzinami w kozackim obozie, gdzie miała się odbyć ostateczna narada.

W licznym orszaku agów i murzów, w lekkich frigijskich czapkach na głowie, w długich płócienych oponach, wszyscy jednako ubrani, ale na pysz-

nych koniach, lśniących od złota i drogich kamieni, wjechali chan ze świtą między rozstawione pułki kozackie. Bito z 60 dział, uderzono w dzwony, ozwały się bębny i trąby—ale hetman nie wyjechał naprzeciw swego gościa... Hetman leżał pijany.

To było obrazą, a przede wszystkim złą wróżbą dla chana, który jak każdy muzułmanin zaboronny, chciał zaraz z ordą powrócić do domu. Załagodził to wprawdzie po wytrzeźwieniu Chmielnicki, ale już nie odzyskał w zupełności zaufania swego sprzymierzeńca.

Odprawiono przegląd wojska i naradę. Chmielnicki miał 90,000 regularnej piechoty, 12,000 jazdy kozackiej i przeszło 100,000 czerni, co razem z ordą wynosiło 300,000. Postanowiono na radzie wojennej utrzymywać króla w mniemaniu, że się Chmielnicki cofa do Kijowa, a 25 czerwcarszyć w największej tajemnicy na Beresteczko i stoczyć bitwę. Sprzymierzeńcy tak byli pewni zwycięstwa, że chan chciał święto Bairam odprawić w obozie polskim.

Tymczasem Jan Kazimierz, nie dostawszy od podjazdów Czarnieckiego żadnej pewnej wiadomości,

gotował się do drogi, w przekonaniu, że nieprzyjaciel cofa się w stronę Kijowa.

Dnia 27 czerwca rano cały obóz ruszył w drogę. — Już drugie wozy były jaką milę od obozu, piechota i jazda stały w pogotowiu, orszak królewski czekał skończenia mszy świętej, gdy nadbiegł goniec z doniesieniem, że nieprzyjaciel nadciąga, a Bohun w kilkanaście tysięcy stanął nad rzeką Horynką dla opanowania przejścia.

Tuż za nim nowi gońcy sypać się zaczęli, potwierdzając wieść o zaczepnych ruchach Chmielnickiego. Wysłano natychmiast Czarnieckiego, aby wozy do obozu nawrócił, wojsku kazano spieszyć na wały, obsadzono wszystkie przejścia i przeprawy, inżynierowie rozbiegli się do naprawy okopów i szanców.

Nad wieczorem dalekie łuny i głuchy szmer w powietrzu zwiastowały o zbliżającej się potędze 300,000 nieprzyjaciół.

Piechota i luźna czeladź sypały całą noc szanice, całe wojsko stało pod bronią: wydano rozkaz, aby pod karą śmierci nikt się z obozu wydalać nie ważył. Ale zuchwała czeladź wyprowadziła kilka tysięcy koni i pasła je w oddaleniu paru mil od

obożu, tak, że podjazdy tatarskie wszystkie te konie w nocy zajęły.

Wiadomość o zabranych koniach i zniesieniu całego podjazdu ks. Wiśniowieckiego zdawały się złym prognostykiem. Nazajutrz całe tłumy słuchały z wielką skruchą nabożeństwa i poszczono dzień cały z powodu wigilii św. Piotra i Pawła, — żaden żołnierz nie tknął pokarmu. Około południa ukazały się pierwsze oddziały tatarskie. Opanowały wzgórze, pola, lasy i chrósty, a pochowawszy tam dragonię kozacką, podjeżdżały pod szanice, usiłując wywabić królewskich żołnierzy na harce pojedynkiem, i wciągnąć ich tym sposobem w zasadzki kozackie.

— Tchórz was obleciał, boicie się! wołano, skoro się nikt nie ruszał.

Strażnik koronny Zamoyski przebiegał tymczasem szeregi, wołając w imieniu króla, aby nikt na harce wyjeżdżać się nie ważył. Dopiero około 5-ej po południu, kiedy już była pewność, że nieprzyjaciół więcej sił na pole bitwy nie przyprowadzi, dozwolono doświadczeńszym weteranom wyjechać na ochotnika i przyjąć wyzwanie.

Rozpoczął się taniec tatarski, w którym cho-

dziło nie o to, aby zabić przeciwnika, lecz aby go żywcem ująć. Wojsko z wałów i szyków z ciekawością patrzyło na to widowisko. Największą uwagę obu stron zwracał na siebie Tatarzyn, siedzący na pysznym pstrokatym koniu. Uganiał za nim stary szlachcic mazowiecki, i nie mogąc go żywcem pochwycić, uderzył na ostro i wkrótce murzyk tatarski zachwiał się, i lecąc z konia, upadł głową w tył, na stronę swoich towarzyszków. Wierzyli zaś Tatarzy, że pierwszy trup, który głową w ich stronę upadnie, wróży im pewną klęskę. Rozwściekleni tym wypadkiem, zbierają się w jedną chmarę, szykują się i pędzą jak wichra pod szaniec.

W tej samej chwili rozległ się rozkaz królewski, by uderzono na nieprzyjaciela.

Rozpoczęła się walka, lecz niedługo trwała: widok przeważającej siły zmusił Tatarów do odwrotu. Całą milę gonił ich chorąży koronny, ale mimo błotnistej przeprawy szczęśliwie się wymknęli, mając rączy konie i uciekając, co sił starczyło. Schwytano 20 jeźdźców i jednego murzę, którzy wyznali, że to był rekonesans w sile 12,000, w którym się sam chan i Chmielnicki znajdowali.

O 10-ej sprawdzono wojsko z pola. Ogólna wesołość panowała w obozie, a znużony żołnierz teraz dopiero ochoczo zabrał się do jadła.

Na drugi dzień (29 czerwca) o świcie cała jazda królewska ruszyła w pole. Ustawiono ją w znacznej odległości od okopów, podczas gdy reszta wojska stała gotowa w obozie. Lewem skrzydłem dowodził hetman polny Kalinowski, w środku stało pospolite ruszenie, prawem wojewoda bracki. Król i wojsko życzyło sobie stanowczej bitwy.

Dzień był jasny, jak nadzieja zwycięstwa.

Równie z braskiem pojawiły się nad przeprawą przez rzekę Pleśnię oddziały Tatarskie. Około 11 uderzył nieprzyjaciół większymi siłami i opłamał przeprawę. Liczne oddziały ruszyły na równinę i rozpoczęły jak zazwyczaj harce, podbiegając pod szyki i wywołując do walki.

Wkrótce dokoła podniosły się słupy dymu: kościoły, dwory, wsie, na kilkomiłowej przestrzeni stanęły w ogniu. Stutysięczna orda i cała jazda kozacka rozlała się po równinie w odległości półtorej mili od szyków polskich; pola i lasy pokryły się nieprzyjacielem.

Wpół godziny nadbiegło mnóstwo drobnych od-

działów tatarskich i stanęło rozwartem półkolem, zapaliwszy dla postrachu wszystkie wsie sąsiednie. Rozpoczęła się bitwa, jakiej nikt nie pamiętał, bitwa 200,000 jeźdźców.

Przeraźliwy okrzyk Ałlah! Ałlah! wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała pod kopytami 100 tysięcy koni.

Główna siła tatarska uderzyła na lewe skrzydło, które zaraz przy pierwszym starciu zupełnie ogarnione zostało. Trzykroć wywijały się pułki jak z matni, trzykroć znów na nowo zabrane zostały. Zdawało się, że nie wytrzymają natarcia, gdy silny atak wojewody podolskiego wybawił je ze stratą rotmistrza i kilkunastu towarzyszy.

Wówczas cała potęga tatarska rzuciła się na środek, gdzie stało pospolite ruszenie. Sąsiednie pułki i ks. Jeremi pośpieszyły im na ratunek. Pułki hetmana wielkiego i marszałka koronnego rozerwały wstęgę tatarską i zmieszały się tak z poganami, że niepodobna było odróżnić Polaka od Tatarów, tylko buńczuki i chorągwie mijały się w powietrzu, Tatarzy bili się po desperacku i wzięli chorągiew hetmańską. Na jej obronę kazano Lubomirskiemu, Radziwiłłowi i Sapieże uderzyć na nie-

przyjaciela. Na całej linii bojowej wrzała walka bez planu, bez rozkazów. Każdy dowódzca robił, co chciał, jeden bronił drugiego.

Bitwa wznawiała się kilkakrotnie. Niektóre chorągwie w zapale wojennym zapędziły się dalej, niż potrzeba, goniąc nieprzyjaciela i co do nogi wycięte zostały. Trwał bój do drugiej po południu, poczem orda odeszła, zadawszy klęskę Polakom.

Padło 200 znakomitych rycerzy z polskiej strony, a co najgorsza, nieprzyjaciel pozostał panem pozycyi, zajmwszy wzgórza, przejścia i przeprawy, odciawszy pole i paszę dla koni.

Ciężkie to były straty, ale i pogaństwu dał się ten dzień we znaki. Zginęło mnóstwo murzów. Mechmed Gerai i sławny Tohai Bey; buńczuk Haslan Murzy wzięto, a Muffrah Murzę, młodego i walecznego rycerza, blizkiego krewnego chana, żywcem pojmano.

Król odwiedzał rannych, zdrowych pocieszał i zachęcał, ale wojsko straciło ducha. Patrząc na to nadwątlone serce i tryumf nieprzyjaciela, który jeszcze sił wszystkich nie wyprowadził w pole, zdawało się, że wojska królewskie nie byłyby wytrzymały, gdyby wróg z całą potęgą nastąpił.

Na radzie wojennej postanowiono wystąpić na-
zajutrz z całą siłą i ostatniej próbować decyzji.

O drugiej godzinie po północy 30 czerwca,
słuchał król mszy św., i zaraz wyjechał z inży-
nierami w pole, aby miejsce rozpatrzyć. O trzeciej,
zostawiwszy 3,000 piechoty w obozie, wyciągnął
w pole ze wszystkiem wojskiem, liczącem do 80,000,
i począł je szykować.

Chmielnicki niemniej był czynny. Całą noc
przeprowadzał swoje tabory, armaty i piechotę, i
z brzaskiem dnia wraz z chanem wojska swoje
sprawiać zaczęli.

Silna mgła, która lasy i pola zaległa, zdawała
im się być przepowiednią wygranej, bo w takim
czasie Tatarzy najszczęśliwiej wojowali. Obie strony
gotując się do ostatecznej rozprawy, stały w tej
„mgłę strasznej“ od trzeciej z rana i nie widziały
się wzajemnie. Dopiero o 10-ej, kiedy mgła nagle
opadła, ujrzały ze zdziwieniem swoją i nieprzyja-
cielską potęgę.

Oba wojska pomknęły cokolwiek ku sobie i Ta-
tarzy zwyczajne rozpoczęli harce, lecz król pod
gardłem wyjeżdżać zakazał, ustawivszy strażników

z ludźmi, którzy Tatarstwo odpędzali i z szyków ruszać się nie pozwalali.

Tymczasem uwagę króla zwrócił orszak, który zjechał ze wzgórza od strony tatarskiej i widocznie przez szkła polowe szyki polskie rozpatrywał. Wezwano szlachcica, który długi czas będąc w Krymie poznał obyczaje tatarskie i podano mu lunetę. Dojrzał on natychmiast 3 ogony końskie i pokazał królowi miejsce, gdzie chan stał. Kazano puszkarzowi wycelować armatę. Strzał był celny: kula powaliła buńczuczego, a chan ranny w nogę uciekł co prędzej na wzgórze.

Aż do godziny trzeciej popołudniu stały oba wojska nieczynne. Król wysłał do chana, wyzywając go do bitwy, ale żadnej nie dostał odpowiedzi. Wówczas, nie namyślając się długo, zrobił krzyż w powietrzu i kazał aby ks. Wiśniowiecki zaczynał.

Za chwilę usłyszano trąby i bębny. Ośmnaście chorągwi wybiegło z lewego skrzydła, — na czele ks. Jeremi z gołą szablą w ręku, bez zbroi i bez czapki na głowie, pędził jak w taniec po piaszczystej błoni. Wicher niósł przed nim tumany piasku nieprzyjaciołom w oczy, słońce biło w nich promieniami.

Jednocześnie z przeciwnej strony uderzono w bębny, sułtani Nuradyn i Gałga ruszyli na czele Tatarów i Turków naprzeciw chorągwiom Wiśniowieckiego.

Ośmnaście chorągwi polskich zniknęło w tłumie nieprzyjaciół, pył poruszony kopytami końskimi, i tuman piasku wichrem niesiony, owinał całą masę; w czarnej mgle nie widać było nikogo i zdawało się, że już stamtąd nikt nie miał powrócić...

Na pomoc Wiśniowieckiemu pośpieszyły województwa krakowskie i sandomierskie, szlachta łęczycka,—pułk za pułkiem leciał i ginął w tej trąbie powietrznej z kurzu i piasku.

Król tymczasem przebiegł szeregi i zachęcał do walki za wiarę, za prawo boskie. Kanclerz Tenczyński, otoczony duchowieństwem, kazał podnieść znak krzyża św. i z wałów z ostatniego szańca błogosławił wojsku całemu.

Chorągwie skłoniły się do ziemi, huk wszystkich armat wstrząsnął powietrzem, środek i prawe skrzydło ruszyło naprzód.

W szykach polskich wielka była otucha i męstwo, żołnierze z każdą chwilą nabierali serca. Walczyła szlachta z zaciekłością, choć nie mogła po-

dołąć przeważającej sile tatarskiej, kiedy ks. Jeremi, rozgromiwszy kozaków, nadbiegł na pomoc i zmusił Nuradyna do ucieczki.

Rozpoczęła się gonitwa. Kozacy uciekali do taboru, Nuradyn i Gałga ruszyli im spiesźnie na pomoc, ks. Wiśniowiecki musiał ku szansom się cofać, zapędziwszy się za daleko od reszty wojska.

Walka trwała. Pułki tatarskie uciekały i nadbiegały, cofały się i uderzały, ale ich pole zmniejszało się coraz, a one zdawały się chwilami szukać miejsca, któredy mogłyby uciekać.

Nie uciekały jednak. Nakoniec zwrócono uwagę, że pomimo rozkazów, prawe skrzydło polskie dotąd stoi na miejscu. Król posyła z wezwaniem, ale wojewoda brackławski odpowiada, że nie może opuścić stanowiska, gdyż w sąsiednim lesie jest zasadzka.

Przekonano się o tem zaraz. Istotnie sam Chmielnicki ukrywał się w lesie, a główne siły jego właśnie w tej samej chwili zaczęły spuszczać się ze wzgórza, niby olbrzymia gąsiennica, ziejąca ogniem i mieszcząca w sobie 100,000 zbrojnych ludzi.

Była ósma wieczorem, i teraz dopiero zaczęli dowódcy pojmować plan nieprzyjaciela. Hetman kozacki nie myślał przyjmować bitwy w miejscu,

które dla niego nie było dogodnem, polecił więc Tatarom zabawiać Polaków harcami i wstępną potyczką, a sam pośpiesznym marszem w przeciagu 3 godzin obszedł pozycję, i od prawej strony chciał zająć pole bitwy, uderzając na nie całą siłą. Sprzyjała mu noc nadchodząca, rozpoczęta walka i szczęśliwe ukrycie swych zamiarów.

Nie było czasu do namysłu, tylko wielka śmiałość mogła uratować od nieszczęścia.

Zwrócono nagle wszystkie siły w prawo, środek i lewe skrzydło gwałtownie ruszyło naprzód, armaty grały hukiem nieustannym. Nieprzyjaciół padać zaczął coraz gęściej, kilkudziesięciu Murzów zaniecono pod nogi chana, wreszcie sułtan Amurat, kulą armatnią ugodzony w piersi, padł wśród okrzyku zgrozy i wnet cała orda, jak spłoszone stado wilków, mieszać się poczęła. Nagle zaczęła pierzchać. Sam chan, ranny w nogę, zostawiwszy rydwan i wielki bęben, bałt zwany, którego głosu Tatarzy słuchali, i namiot swój na wzgórzu, dosiadł konia i z wiatrem pomknął w stronę Leśniowa.

Na widok uciekających mas tatarskich, tabor kozacki przystanął, a potem zwolna cofać się za-

czął. Chmielnicki, spiesznie wydawszy potrzebne rozkazy, sam popędził za chanem, aby go z drogi nawrócić.

Islam Gerai przy stosach martwych wojowników, które na wozy znoszono, zmieniał konia, by pospieszyć w dalszą drogę, gdy hetman stanął przed nim. Wstyd, żal po stracie brata Amurada i tak wielkiej liczby walecznych, wreszcie dokuczliwa rana, zmarnowane trudy, wszystko to nagle wstrząsnęło Tatarem, który na widok swego sprzymierzeńca do słowa przyjść mu nie dał, zakrzyknął zdrajcą, kazał pochwycić, związać nogami do konia i gnał przed sobą cztery mile do Wiśniowca.

Ten niespodziany wypadek rozstrzygnął ostatecznie bitwę. Połowa nieprzyjaciół uciekła, połowa została bez głowy. Wojsko polskie zajęło wszystkie wzgórza, i chorąży koronny ruszył w pogoń za Tatarami.

O 9-ej godzinie zostały puste pola po nieprzyjacielu. Zwycięstwo było zupełne, stanowcze.

Gdy pierwsze błyskawice przemknęły w powietrzu, rozdzierając ciężkie i ciemne obłoki, wojsko i król w pokorze padli na kolana, by odśpiewać *Te Deum*. Wkrótce deszcz ulewny obmył z kurzu

modlących się, a ziemię z krwi przelanej. Dzień to był szczęśliwy: jak burza wichrem w inną odpędzona stronę, minął ogrom niebezpieczeństwa, słońce nadziei zajaśniało znów na horyzoncie.

Wszystkie plany i rachuby nieprzyjaciół zniszczone, nieprzejrzane ordy pokonane, kozactwo otoczone w obozie. A straty stosunkowo bardzo małe. Według naocznych świadków z 400,000 walczących padło nie więcej nad 700 ludzi.

„Postronni ludzie wielkości tego zwycięstwa wierzyć nie będą—pisze jeden z uczestników bitwy—ci nawet, co na nią patrzeli, więcej się dziwić, niż wiary dawać będą, bo umysł każdego pierwszej zdumienie, niż pewność tego, co się stało—objęło“.

TURNIEJ.

(Wyjątek z „Zamku Krakowskiego“ Rzewuskiego.)

Na rozłożystem błoniu, które dotyka Kleparza, widać było wyseki parkan z ostrokołów, zajmujący przestrzeń kilkuset sążni. Były to szranki przeznaczone na igrzyska rycerskie, tak często powtarzane w bohaterskich wiekach średnich.

Z czasem wyszły one z użycia i kto wie, czy nie ostatni uroczysty turniej odbył się na polskiej ziemi, ten właśnie, o którym mówić się będzie.

Parkan tak był gęsty, że kto nie był zaproszony w środek ogrodzonej przestrzeni, nie mógł widzieć, co się w niej robiło. Motłoch błąkał się po za szrankami, uszy tylko przykładając do zasklepionych szczelni parkanu, azali przynajmniej czegoś nie dosłyszy. Prawo rycerskie nie przypusz-

czało innych widzów, tylko ze szlacheckiego stanu; z pomiędzy mieszczan chyba jaki giermek, powagą swego pana poparty, pod pozorem, iż do jego usług jest potrzebny, wciskał się czasem pod galeryę między widzami i tu nawet musiał skłamać sobie jakieś szlacheństwo. To wyłączenie gminu od tych widowisk nie tyle pochodziło z dumy szlacheckiej, ile z obawy czarów i uroków. Rycerz zwyciężony skłonny był zawsze przypisać swoje nieszczęście wpływom złego ducha prędeej, niż przewadze przeciwnika.

Stąd urząd sędziów szranek był bardzo trudny.

Stwierdzali przysięgą, że będą strzegli wszystkich praw rycerskich, nie dopuszczając żadnych podstępów.

Wokoło amfiteatru wznosiły się galerye, ubrane w bogate kobierce, dla widzów obojga płci, tak z senatorskiego, jak i rycerskiego stanu; na dole stali giermkowie i słudzy nadworni tych, co siedzieli w galeryach. A pomiędzy temi galeryami obszernością i bogactwem odznaczała się królewska, ozdobiona chorągwiami, na których jednoczyły się: orzeł polski, pogoń litewska i lilie francuskie.

Już widzowie zajęli miejsca, już mnóstwo ry-

cerzów w pełnej zbroi, których twarze zakryte były, tak, że tylko po godłach można było ich rozróżnić, stali przy rumakach.

Konie zdawały się rżeniem wywoływać hasło do boju.

Sędziowie zajęli swoje miejsca; czekano tylko na króla.

Nakoniec dał się słyszeć huk dział, odgłos trąb i kotłów, zwiastujący jego przybycie.

Henryk Walezyusz jechał na białym koniu, z grzywą, ogonem i kopytami czarnemi, pochodził on z cudnych andaluzyjskich dolin i był darem króla hiszpańskiego. Rząd odpowiadał bogactwem i smakiem wysokiej wartości rumaka. Siodło, uzdy, strzemiona gęsto ozdobione były rubinami, oprawnemi w złoto. A na czapraku z jednej strony wyszyty był orzeł polski, z drugiej trzy lilie, wszystko z dyamentów. Sam król, jego dworzanie, a nawet kilku panów polskich, mieli na sobie ubiór, jaki wówczas był używany na zachodzie, nieco podobny do hiszpańskiego.

Król nosił spodnie z białego atłasu, buty czerwone, odstające i krótkie, westę z białego atłasu, we Florencyi tkanego, gęsty kołnierz z brabantkich

koronek, z pod których wisiało na złotym łańcuchu hiszpańskie runo. Na tem płaszcz z aksamitu szkarłatnego, a na głowie ten rodzaj czapki, co go tokiem nazywano, na którym błyszczał ogromny soliter, przypinający kité z czaplich piór.

Z nim przybyli panowie dworu, książę Radziwiłł Sierotka, wojewoda Wileński, Marcin Zborowski, marszałek koronny; Chodkiewicz, starosta żmudzki, książę Wiśniowiecki, wojewoda ruski: wszyscy tak jak król zadziwiali dzielnością koni i bogactwem ubiorów.

Król jeszcze więcej odznaczał się urodą, niż przepychem stroju: łączył regularność rysów włoską z francuską zgrabnością. Natura hojnie go uposażyła, dała mu wszystkie przymioty, zdolne uczynić zeń bohatera; ale on strwonił wszystkie jej dary, zepsuty przez chytrą matkę i przykłady przewrotnego dworu.

Rycerze wykonali przysięgę, że żaden z nich nie nosi przy sobie nic takiego, czemby niegodziwym sposobem pomagał męstwu i szczęściu, jakich tylko od samego Boga i jego wybranych oczekiwać wolno; że w najzaciętszej bitwie, na głos surmy pokoju, zaprzestanie walki; że nakoniec dochowa

wszelkich praw rycerskich, jako to: nie będzie godził w konia przeciwnika, rycerza niżej pancerza bronią nie dotknie i tak dalej.

Wojewoda Opaliński, kasztelanowie Wapowski i Tęczyński, sędziowie turnieju, zajęli miejsca; przy nich heroldowie w bogatych strojach.

Na znak dany przez króla heroldowie w środku szranków stanęli i jeden z nich przeczytał w języku łacińskim warunki i prawa turnieju, poczem wrócili na swoje miejsca.

Igrzyska rozpoczęły się od pojedynczych utarczek. Wodzowie dwóch obozów otworzyli turniej, jeden na drugiego nacierając.

Książę Janusz Radziwiłł miał na sobie zbroję, połyskującą jak zwierciadło; jego szyszak był ozdobiony blachą złotą, a na puklerzu nosił trąby radziwiłłowskie w Orle Rzeszy niemieckiej.

Samuel Zborowski miał zbroję z jorskiej stali, złotem nabitą w girlandę, roboty precudnej; na zbroi była zawieszona szarfa błękitna, którą dostał od pani swego serca. Jego tarcza była ze stali szmelcowanej w błękit, godło stałości; a na niej zamiast rodowego herbu, błyszczała Salamandra w płomieniach, a w około niej napis: Z nich się żywią.

Obaj rycerze natarli na siebie całkowitym pędem swoich wiatronożnych rumaków. Na środku pobojuwiska natknęli się kopiami o pancerze: obie kopie rozprysły się na drobne kawałki, ale ani jeden, ani drugi rycerz nie opuścił strzemion. Stali jak ściany nieruchome.

Odgłos powszechnego uwielbienia dał się słyszeć ze wszystkich galeryi.

Wodzowie po tem dzielnem spotkaniu się, wrócili każdy na swoje miejsce.

Za nimi popisywali się inni rycerze.

Ze strony Samuela, który przewodził francuzom, Villaret szedł na Tarłę i udało mu się go powalić; znowu ze strony Radziwiłła, pan Zawisza zsadził pana Pardalion. Chciał go pomścić Kreki, ale zwyciężonym został od pana z Grabowa.

Wszakże równy był wymiar szczęścia tak dla jednej, jak i dla drugiej strony. Każda z początku miała dwudziestu czterech rycerzy, a już tylko piętnastu liczyła, bo wedle porządku przepisanego od króla, rycerz który opuścił siodło, już nie miał prawa walczyć.

Pokonani rycerze stali w milczeniu z głowami pospuszczanemi na piersiach, ale król kazał ich za-

prosić do swojej galeryi i pocieszał łaskawemi słowami, oddając należną sprawiedliwość odwadze, zdradzonej li tylko zmiennością zdracliwego losu.

Po tych pojedynczych potyczkach, stosownie do programu, przyszło do ogólnej bitwy na ostre. Każdy zapaśnik użyć mógł wedle woli: kopii, topora, czekanu i miecza.

Piętnastu rycerzy z jednej, piętnastu z drugiej strony, rzucili się na środek pobojuwiska, jak dwie chmury gradowe. Szelest broni, odgłos razów, grom pocisków, przedstawiały widowisko przerażającej piękności: zwłaszcza kiedy w jednej chwili wszystkie kopie, i całe, i odłamane, ciśnięte zostały, a bój rozpoczął się na miecze. W tej strasznej utarczce przez chwil kilka los zdawał się sprzyjać Radziwiłłowi, bo ze strony jemu przeciwnej trzech rannych rycerzy wyniesiono ze szranek. Nagle on sam pięciu utracił. Już zwycięstwo zdawało się przychyłać ku pocztowi pana Samuela, któremu niepodobna było dotrzymać, ale wkrótce szala się zrównoważyła. W czasie gdy pan Samuel toczył zażartą bitwę z Zawiszą, którego olbrzymia siła była wprost bajeczna, jeden rycerz z pocztu księcia, który w pojedynczych harcach nie brał udziału, wpadł na od-

siecz księciu Januszowi z szybkością kamienia, toczącego się ze stromej góry ku dolinie.

Pierwszy, który doznał jego ręki, był młodzieniec rozpoczynający zawód rycerski, rodzony siostrzan Zborowskich. Nieznajomy rycerz uderzył go mieczem po karku. Rzemień łączący szyszak ze zbroją został przeciętym, krew trysnęła; pochylił się młodzieniec na szyję konia i przez łeb padł bez przytomności na piasek. Montmorency, chcąc pomścić kolegę, rzucił się na zwycięzcę i raził go mieczem po szyszaku tak, że głęboką szczerbą napiętnował na nim świadectwo swej siły. Rycerz ani się zachwiał, ale miecz szybko zawiesiwszy na temblaku, porwał topór i w oka mgnieniu ugodził nim wprzód pancerza. Francuz wytrzymać nie mógł podobnego pocisku, padł na tył swego rumaka, a rycerz przyskoczył do niego i nie dając mu czasu powstać na siodle, ręką go zrzucił.

Odgłos uwielbienia podniósł się ze wszystkich galeryi za to podwójne zwycięstwo, a księżę Janusz swobodnie pośpieszył na odsiecz Zawiszy. Zwycięstwo nieznanego rycerza przychyliło szalę szczęścia ku Radziwiłłowi.

Pan Samuel cały swój gniewo brócił teraz na

rycerza, który dopiero co siostrzeńca mu powalił i wydarł zwycięstwo.

• Wszczęła się między nimi walka najuporczywsza w całym tym turnieju, bo już nie na miecze, ale na topory. Było to widowisko zupełnie nowe dla króla.

Henryk był nieco zasmucony, bo oprócz kawalera Villaret, wszystkich jego Francuzów zsadzono z koni. A uważając, że książę przybywał Żółkiewskiemu i Nowodworskiemu na pomoc, zatrwożył się o los Villareta, i dał rozkaz aby wszyscy zaprzestali walki, oprócz pana Samuela i nieznajomego rycerza, która to walka miała zakończyć turniej.

Rycerze za rozkazem królewskim miecze włożyli w pochwy i zsiadli z koni, a król zaprosił ich do swojej galeryi. Rycerze, zdjęwszy szyszaki, przyszli na wezwanie pana, który ich przyjął łaskawem powitaniem i zachęcającemi pochwałami.

Tymczasem przedłużyła się walka między Samuelem, a nieznajomym rycerzem. Długi czas ani na jedną, ani na drugą stronę rozstrzygnąć się nie mogła. Częste uderzenia toporów po zbroi i szyszakach dawały się słyszeć, jak łoskot młotów

w kuźni; ślady ich dawały się widzieć w uginaniu się hartownej stali, a jednak natarczywość szermierzów nie zdawała się zmniejszać. Strumienie potu lały się z rumaków i słyszeć się dawały prośby do króla, żeby dał znak zgody i podzielił nagrodę pomiędzy równej dzielności przeciwnikami.

Już król zabierał się dać hasło końca gonitw, kiedy nowa okoliczność sprawiła powszechne zadziwienie. Zborowski, zniecierpliwiony tak mężnym oporem, raptem rzucił się na przeciwnika i cisnąwszy topór o ziemię, z szybkością błyskawicy ramionami objął go wpół, usiłując ściągnąć z konia. Udało mu się go uchwycić, ale przeciwnik nawzajem porwał go za ramię i cały na nim się zwiśił, a nakoniec po kilku chwilach przeważony własnym ciężarem, powalił się, ale pociągnął za sobą Samuela.

Padli obaj rycerze jak śniegozwały gór Karpaczych; ale Zborowski pierwszy powstał i z dobytym mieczem przystąpił do przeciwnika. Ten chciał się jeszcze bronić, ale na nieszczęście miecz, który go rzadko zawodził, wrył się w ziemię tak, że go nie mógł wydobyć. Samuel kląkł na jego piersiach, a dobywszy puginału, przyłożył go do szyi i krzyknął:

— Proś, żebym ci darował życie, albo to żelazo wtopię ci w gardło!

Tu surma zgody słyszeć się dała.

Sędziowie turnieju przybiegli i oswobodzili przyduszonego rycerza, który wedle praw rycerskich musiał zdjąć szyszak, żeby się dać poznać zwycięzcy.

Pan Samuel poznał—Ezechiela Zdorę. I zamiast coby miał okazać jakiś dowód szacunku dzielnemu mężowi, nad którym zwycięstwo tyle go kosztowało trudu, w zapamiętałości rzucił na niego wzrok wzgardy i w obec całej publiczności odważył się powiedzieć panu Tęczyńskiemu, sędziemu turnieju.

— Sameś się waszmość nie odważył ze mną potykać, jako z równym krwią i imieniem, ale wypawiłeś na mnie swojego słuźalca; lecz ja na wascinym karku odwetuję moją krzywdę.

Na tę zniewagę szlacheckiego stanu szmer powszechny powstał ze wszystkich galeryi. Dały się nawet słyszeć pogróżki szlachty.

— Pan Zdora należy do stanu rycerskiego, jak i pan Zborowski, a więc jest mu równie zacny.

— Pan Zdora, choć służył u Tęczyńskiego, to krzywdy mu nie robi; większy zaszczyt szlachci-

cowi służyć na dworze senatora, niż być watażką złodziejów zaporoskich.

— Krzywda pana Zdory, jest wszystkich krzywdą. Kiedy pan hetman Zaporoski pomiata ubogą szlachtą, ogłaszamy za infamisa każdego szlachcica, który jemu służyć będzie.

Kilkoma nierozważnemi słowami Samuel utracił w jednej chwili całą więtość u szlachty. Brat jego, pan marszałek koronny, poznał niebezpieczeństwo, grożące jego domowi w narodzie, gdzie przewaga panów nie opierała się na żadnem prawie, ani na łasce królów, ani nawet na szerokich włościach, ale wyłącznie na przywiązaniu szlachty, jedynej samowładczyni Rzeczypospolitej. Wybiegł więc z galeryi królewskiej do brata i usiłował nakłonić go do przeproszenia pana Ezechiela. Ale dumny Samuel nietylko, że na to się nie zgodził, lecz zuchwałym jeszcze wzrokiem mierzył tłumy szlachty, jakby ich wszystkich wyzywał do walki.

Wedle praw rycerskich Zborowski ogłoszony został zwycięzcą turnieju i otrzymał od króla w nagrodę kite brylantową wielkiej wartości.

Jednak nie można mu było przyznać bezwarunkowego zwycięstwa, bo i z przeciwnej strony,

ani Radziwiłł, ani też pozostali zdrowi rycerze nie mogli się uznać zwyciężonymi. Wszakże Nowodwor-ski i Żółkiewski stali na nogach i chętnie odno-wiliby bój, gdyby ten dozwolonym im został. Dla-tego król obydwie strony obdzielał nagrodami. Książę Janusz otrzymał tego właśnie andaluzyjskiego konia, na którym król wjechał był w szranki, a któremu równego nie było w całej Polsce. Konie wielkiej wartości, złote łańcuchy, bogate rzędy, ko-sztowne szuby i kołnierze rozdawał król walecznym: a dla większego jeszcze ich uczczenia, wszystkich zdrowych zaprosił nazajutrz do królewskiego stołu.

Cieszyli się zwycięzcy, lecz nie mało było i rannych; jeden nawet na miejscu został, a dwóch w kilka dni potem umarło w rękach lekarzy. Nic więc dziwnego, że oburzone duchowieństwo oświad-czyło, że jeżeli kto odnowi te krwawe igrzyska, już potępione od Stolicy Apostolskiej, wtedy zmu-szone będzie rzucić klątwę nietylko na szermierzy, lecz i na wszystkich uczestników.

W ten sposób ukrócono te dzikie zabawy, gdzie dla igraszki narażano na niebezpieczeństwo zdrowie, a nawet życie ludzkie.

Odwrót z pod Cecory.

(1620 r.)

(Według Niemcewicza: Dzieje panowania
Zygmunta III).

Gdy Stanisław Żółkiewski otrzymał od króla Zygmunta III rozkaz, aby zebrawszy wszystko wojsko wyruszył na Wołoszczyznę, serce wiekowego hetmana ścisnęło się złem przeczuciem i pod brzemieniem niespodziewanej troski pochylił osiwiąłą głowę na piersi.

Zdawało mu się, że żądają od niego rzeczy niepodobnej: oto on, dowódzca, który jak ojciec i zwierzchnik ukochał rycerstwo, miał dziś te drogie sercu swemu dzieci, ten kwiat młodzieży prowadzić pod miecz katowski przeważnego i nieprze-

jednanego wroga. To jakby jagnię do paszczek wilka podsuwać.

Lecz król rozkazuje, a naród pragnie walki!

Czyż on, wódz naczelny ma dawać przykład niekarności, sprzeciwienia się władzy wyższej?

Obowiązek iść mu każe—więc pójdzie, lecz zanim zatrąbi na wojnę, królowi musi wypowiedzieć, jaki ból pierś mu przytłacza, co myśli o nieszczęsnej wyprawie.

Już drżącą ręką ujął za pióro, lecz wzruszenie pisać mu nie dozwoliło.

Ileż przecierpiał przez niedołęstwo, przez brak zmysłu politycznego tego słabego monarchy!...

Oto przed oczyma duszy widzi całe swe życie, pełne trudów, poświęceń i świetnych zwycięstw. Były chwile, gdy potęgą swego ramienia wznosił wysoko Piastów koronę, opromieniał ją chwałą, że mogła wznieść się na wyższy szczebel i zapanować ludom. Zawieść małodusznych, nieudolność króla wszystko zniszczyła i prac tyle, zwycięstw tyle—wszystko poszło na marne!

Nieopisane zniechęcenie i żal głęboki wstrząsał sercem bohatera, gdy ująwszy po raz drugi pióro w rękę kreślił list następujący.

„Najjaśniejszy królu, panie mój miłościwy!

„Nigdy baczny na siebie, troskliwym ja zawsze byłem, miłościwy panie, o całość powierzonego mi rycerstwa i o cześć tego dostojenstwa, które z łaski W. Królewskiej Mości dzierżę, lecz dziś, gdy tak wyraźną czytam wolę W. K. M. gdy z rozkazami króla godzą się wojska żądania, gdy wszyscy wojny pragną, minęła chwila przełożeń, słuchać tylko i bić się należy. Jeżeli zginę, uciszą się przynajmniej zgonem moim zażarte na mnie obelgi i nienawiści. Nie tajne mi są niebezpieczeństwa, na które się z garstką moich narażam, drżę o ten kwiat młodości, lecz sam nigdy mniej lękliwie nie wystawiłem piersi moich nieprzyjacielowi.

„Żyłem aż nadto, i czegożem w tem długim życiu doświadczył, cóżem widział?

„Domowe niezgody, wojny niepotrzebnie wzniecane, niedołącznie wiedzione, przy najświetniejszym męstwie, fatalną psującą wszystko niesforność i chciwość, pogardę praw. zniewagę majestatu, niestety! samej nawet wolności! nakoniec prześladowanie, obmowę, ścigające wiernych ojczyźnie mężów!

„Są to, Miłościwy Panie, doznania, co i zachód życia mego zmierziły.

„Bogu tylko wiadomo, jakie będzie wynijście z tej wojny; jeżeli, co odwróć Boże, przeciwne, spełni się to, czegom zawsze żądał: nie przeżyję niesławy, polegnę za sławę św. katolicką, za króla, za ojczyznę moją.

„Lecz w każdym przypadku, królu, panie mój, czekają cię wielkie prace i wielkie trudy. Wojna z Turkami nie jest igrzyskiem.

„Tyle państw i królestw rozbiło się o tę skałę. Potężniejszych sił, dojrzałych przygotowań potrzebowała podobna impreza *).

Nie tak to czynił poprzednik W. K. M. niezgasłej pamięci król Stefan; i on zamyślił nieprzyjaciela Chrystusa wygnać z Europy, lecz czynił to rozważnie i tajemnie. Naówczas ja i dwóch tylko Polaków do tajemnicy tej przypuszczonemi byli; czyniły się układy po temu między papieżem Sykstusem V, Filipem królem hiszpańskim i naszym Stefanem. Dojrzewało dzieło, lecz śmierć króla Stefana przerwała wszystko.

„Ale próżno już o tem, kończę ten list, żegnając W. K. M.

*) Impreza—przedsięwzięcie.

„Wyjeżdżając do wojska dnia 25 sierpnia 1620 r.
„W. K. M. wierna rada i najniższy sługa

Stanisław Żółkiewski.

„Kancierz i hetman wiel. koron.“

Wyprawiwszy list powyższy, Żółkiewski udał się niezwłocznie do obozu i tam uszykowawszy do ośmiu tysięcy wojska, wyruszył nad Dniestr.

Na samym wstępie spotkał Polaków zawód, gdyż Gracyan, hospodar wołoski, który obiecywał pomagać przeciw Turkom, zamiast kilku tysięcy, przyprowadził hufiec z 600 koni złożony.

Postanowiono ciągnąć na błonia Cecorskie, gdzie niegdyś Jan Zamojski obozował.

Nagle pogodne niebo czarnemi zasunęło się chmurami: ulewny deszcz spadł na idące wojsko, a błyskawice i pioruny rozświetlały niebo, to wstrząsały ziemię. W szczerem polu, pod pędem wiatru i zlewą deszczu szło zgnębione rycerstwo w rosnący mrok i pustą przestrzeń, gotującą mu nieznane losy.

Oczy mimowoli wyglądały schronienia...

Nagle wstrząsający, straszny huk ogłuszył na chwilę ludzi i zwierzęta.

Piorun uderzył w buńczuk hetmański, niesiony przed karocą Żółkiewskiego który roztrzaskany leżał na ziemi, w tysiączne rozproszony kawałki. Konie stanęły dęba i ani kroku dalej postąpić nie chciały.

„A słowo ciałem się stało!” — szeptano w okóło i lwie serca odważnych rycerzy przejmował strach zabobonny.

Mimowoli zatrzymały się zbrojne zastępy, zacieśniły szeregi, każdy się kurczył, ramię szukało przyjaznego ramienia, koń drżał pod jeźdźcem, a rycerz, sam trwożny — klepał po mokrej grzywie i uspakajał wiernego przyjaciela bojów.

Nakoniec burza minęła. Deszcz spływał po zbrojach rycerzy, a konie postępowały powoli w rozmięklej ziemi.

Tak nadciągnęło wojsko pod Cecorę.

Wjechano w dawne Zamojskiego okopy. Hetman obejrzał zniżone, zarosłe szanice i kazał natychmiast przekopywać je i naprawiać.

— Cóż to nam rozkazuje hetman? szemrano w okóło. — Czyliż dlatego zbroje na barkach nosimy, zowiemy się rycerstwem, byśmy jak lud wiejski grzebali w ziemi? Oreż i utarczki, to jest żołnier-

ska robota. I cóż, że nie-ma nieprzyjaciela? Idźmy go w polu spotykać?

Tak narzekało wojsko. Nagle przypadł, wysłany naprzód na zwiady Jan Odrzywolski—i zdała już krzyczy, że nieprzyjaciel nadciąga. Wówczas żołnierz hurmem rzuca się do roboty.

W oczach rozwijających się hufców nieprzyjacielskich, żołnierze kończyli fortyfikowanie wałów.

Dzień chylił się ku zachodowi, poblizkie góry i lasy zasłaniały niezliczone wojska tatarskie, noc jednak przeszła spokojnie.

Nazajutrz ze świtem niecierpliwa młodzież wysypała się z obozu i poczęła nieprzyjaciela wyzywać na rękę.—Szczęściło się naszym w tych bojach i na hacach schodził dzień cały. Za pojedyńczymi ochotnikami poszły całe pułki. Tatarzy nie wyćwiczeni w tego rodzaju walkach, poczęli uchodzić z pola bitwy, nasi zagrzani zwycięstwem, z wielkim uderzają na nich pędem, rozpraszają barbarzyńców, siekają, łamią, aż tu z obozu dolatuje odgłos trąb, wzywający zwycięskie pułki do odwrotu.

Żołnierz, schodząc z pola, zżymał się z gniewu i złorzeczył nocy, jak gdyby to ona okrywając nie-

przyjaciół cieniami swojemi, z ostatecznej wyrwała ich klęski.

Rozjątrzona, nieopatrzna młodzież skupia się w nocy około namiotów hetmana i wodzów.

— Nie trzymajcie nas dłużej w szącach—wołają—jak słabe jakie niewiasty; nie na to dane nam są te dzielne ręce, ten oręż; nie przyszliśmy tu, by patrzeć na nieprzyjaciela, lecz żeby z nim się potykać, niech więc nas hetman albo wraz wiedzie do boju, albo, jeżeli się trudy obozowe sprzykrzyły, spokojnie do domów rozpuści.

Zniósł hetman cierpliwie te burzliwe wołania. A jednak jak go boleć musiała nieufność wojska... Na nim przecież ciążyła cała odpowiedzialność wyprawy, więc nie mógł swych hufców lekkomyślnie narażać. Wiedział, że ostatnia ucieczka Tatarów zwykłą była ich sztuką, o liczbie zaś nieprzyjaciela nie miał też żadnych pewnych wieści.

Tymczasem chytry Gracyan nie przestawał wodza i wojsko zapewniać, że nieprzyjaciół nie miał więcej wojska nad to, które pokazało się w ostatniej utarczce. Szczęściem tejże samej nocy przywiedziony jeniec tatarski wyznał, że nieprzyjaciela do stu tysięcy liczono, że wielu tam widziano zbie-

głych Wołochów, że samych Tatarów 50,000 przybyło.

Zawiadomiony hetman o tak przeważnych siłach, w trosce i srogim niepokoju spędził resztę nocy.

Nazajutrz do walnej przyszło bitwy. Ścierały się obydwie strony: raz ścięśnionemi hufcami, znów rozproszeni, często mąż z mężem. Turcy i Tatarzy uderzali, pierzchali, i znowu powracali do boju, nasi długimi kopijami bodli ich zdaleka, z małemi rotami tłumy nieraz gonili, nakoniec, nie wspierani od dział, zmordowani długim bojem z coraz świeżo cisnącym się nieprzyjacielem, wolnym krokiem do obozu uchodzić poczęli.

Wówczas Turcy posunęli się za nimi, a dwaj młodzi Żółkiewscy, syn i synowiec hetmana, złożwszy kopie, na czele rot swoich wpadają na barbarzyńców i uniesieni wirem walki zapędzają się dalej, niż nakazywała roztropność. Koniecpolski widząc, że wszędy zamieszanie i nieład, że ciurowie wyprzegają konie od wozów i w bok uchodzą, przenosi się we wszystkie strony, woła, gromi, zachęca, stara się szyk powrócić, w tem spostrzega chorągiew w rękach Turków. Niepomny na niebezpie-

czeństwo, rzuca się w tłum, zdobywcy obie ręce ucina i orła białego ocala.

Do końca dnia trwa rzeź okropna; nie było już ni rozkazów, ni szyku; każdy walczył na własną rękę, bronił siebie lub drugich.

Poległo dnia tego 3,500 Turków, Polaków zaś zaledwo na 350 trupa dziejopisowie obliczają.

Pomimo zwycięstwa, skrwawione, ranami pokryte, znużone całodziennym bojem rycerstwo, wróciło do obozu w najwyższym przygnębieniu. Zmordowane pracą członki, przerażone oczy widokiem barbarzyńskich tłumów, same nakoniec cienie nocy ciężkim smutkiem ogarnęły rycerstwo. Wśród bolesnych jęków zranionych, przy słabych ogniskach, smutne były rozmowy żołnierzy.

— Nigdy — mówili, — bisurman nie potykał się z taką wściekłością! gdyby nie noc, któżby z nas został przy życiu? Lecz i dziś na jak długo ocaleni jesteśmy? Zamknięci, otoczeni zewsząd, bez pożywienia, bez paszy dla koni, albo polegniemy od miecza Turków, albo głodową umrzemy śmiercią.

W tymczasem Gracyan, zdrajca, obchodził szeregi, powiększał niebezpieczeństwo i radził ucieczkę, wskazując nawet bezpieczną drogę na Pokucie.

Wśród mroku nocy i ciszy uśpionego obozu Gracyan z Kalinowskim pierwsi opuścili szańce i rzucili się w rzekę Prut, niedaleko obozu płynącą.

Chwyciła się nieszczęsna zaraza najświetniejszych w wojsku dowódców. Książę Korecki, Struś, Tyszkiewicz, już byli pół rzeki przebrnęli, gdy tknięci wstydem do obozu zawrócili.

Postrzegł ich hetman i surowo opuszczenie szyków wyrzucił.

— I któż uciekał?—zapytał dumnie ks. Korecki, chcąc się zaprzeć swej hańby.

— Ten—odparł hetman— z którego szat woda jeszcze ciurkiem się leje.

Tu książę ze smutkiem pochylił głowę, patrząc na szaty, ociekające wodą i jawnie świadczące o usiłowaniach ucieczki.

Tymczasem ciurowie i czeladź obozowa, skora do skorzystania z każdej przygody, wpada do namiotów, rozrywa pomiędzy siebie bogate sprzęty wodzów, rzuca się nawet na nędzną chudobę prostego żołnierza i aby ślady łupiestwa zatrzeć, obóz zapala!

Napróżno opuszczony Żółkiewski stara się przywrócić porządek: chodzi, perswaduje, przekłada —

wszystko na próżno! Nakoniec, by wiadano, że jest w obozie, rozkazał buńczuk hetmański wynieść do góry i pochodniami oświecić. Zaczny Koniecpolski, dotknięty ciężkiem zmartwieniem sędziwego wodza, puszcza się na koniu, dogania obłąkanych, upomina, zachęca, zaklina na sławę i własne bezpieczeństwo, krnąbrnych nawet razami do powrotu przymusza.

Sprawcy tego nieszczęsnego poruszenia zasłużoną odnieśli karę. Kalinowski utonął w Prucie, tak że ciało jego nigdy odnalezione nie zostało. Gracyan od Wołochów został zamordowany. Sułtan Osman uciętą jego głowę odesłał, naznaczonemu na gospodarstwo Aleksandrowi, niewiadomo, czy jako dar, czy jako srogą przestrogę.

Nakoniec powróciło wstydem przejęte rycerstwo. Tu patrząc na złupiony i ogniem zniszczony obóz, na opuszczone szanice, na dymiące się jeszcze pożogi, zdjęci żalem i wyrzutami sumienia, stali jak smutny poczet skazanych na śmierć złoczyńców.

Przez kilka dni następnych Żółkiewski zajmował nieprzyjaciela układami, a rozprzęgłe hufce porządkował, wlewał w nie ducha ufności i męstwa.

Widząc jednak, że położenie jest bez wyjścia, że jedynym ratunkiem jest odwrót, Żółkiewski roz-

kazuje rycerstwu uszykować się w wielkie koło i sam postanawia zagrzać je męstwem.

Pochylony wiekiem, przygnębiony zgryzotą, wyszedł siwowłosy starzec w środek, wsparty na ramieniu jedyne go syna.

Widok sędziwego wodza, wzbudzając pamięć tylu odniesionych zwycięstw i chwały, rozrzewnieniem napełnił serca obecnych. Cisza niczem nie zmacona zapanowała wśród tysięcznych tłumów. Hetman podniósł białą jak gołąb głowę, potoczył wzrokiem dokoła i znowu głowę na piersi opuścił.

Czekano w milczeniu, wódz bowiem, przejęty boleścią, czy też gniewem miotany, długo nie mógł przemówić; nakoniec, pokonawszy żal starą pierś rozsadzający, w te odezwał się słowa:

— Gdyby nieba przeznaczyły były to dobre imię, któregom męstwem i posłuszeństwem waszem nabył, niezaćmionem zachować do końca, już dawno powinienbym był poledz; lecz podobało się Najwyższemu przedłużyć starość moją, ażebym doświadczył znieważenia powagi hetmańskiej, żebym patrzył na zwątlone szalonem nieposłuszeństwem szyki, na opuszczone szance, na obóz rozszarpany i ogniem zniszczony.

„Lecz puszczam to wszystko w niepamięć, ani was o to przytomnych tutaj oskarżam. Już sam Bóg oddzielił was od niecnym i ciężką zgubą ukarał tych, co tej ucieczki byli sprawcami. Z tem wszystkiem, jeżeli dziś walecznością waszą z nieprzyjacielem nie dowiedziecie, żeście od tamtych inni, świat i potomność w jeden z przestępnymi poczet pomieszać was może.

Widzicie sami ostateczność: albo tu z głodu zginąć potrzeba, albo orężem wśród nieprzyjaciół drogę sobie otworzyć.

„Oto są pola, gdzie przed 25 laty Zamoyski liczne wytepił hufce, wy sami na tem miejscu depczecie kości naówczas poległych barbarzyńców. Patrzcie i dzisiaj na ich trwożliwość,—na nas zwątlonych, słabym szanćcem zakrytych,—czyż nie odważą się uderzyć?

„W samem tylko zwycięstwie—całość obozu—co mówię obozu: całość domów, żon i dzieci waszych; gdzież bowiem jest inne wojsko, gdzie twierdze; któż powie, gdzieby się miecz i ogień bisurmanów zatrzymał, gdybyście wy zginęli?

„Pokażcie więc królowi, pokażcie ojczyźnie, jakim mężom powierzyła swe bezpieczeństwo.

„Oto ja, hetman wasz, ile mi jeszcze głosu stawa. wzywam was do boju!”

— Do boju! do boju! — powtórzyło rycerstwo, wzruszone mową zacnego dowódcy. Inny duch zapanował w obozie, ufność i ochota zapaliła wszystkie serca.

Wówczas postanowiono taborem cofać się do granic ojczystych.

Na czele i z tyłu postawiono ciężkie działa, wozy siedmiu postępowały rzędami, wśród nich zawarta jazda, a wszystko dokoła otaczała i utwierdzała piechota. A im niebezpieczniejsze miejsca, tem doświadczeńsi postawieni wodzowie.

Wszystko to zwarte, ściśnięte, jakoby jedno ciało stanowiło, poruszało się powoli, w ciszy i niczem nie-zachwianym szyku bojowym.

Ciała ludzkie to zda się mur nieruchomy, a działa, wozy, konie, szyszaki to jedna twierdza, najeżona ostrzem rozmaitego oręża.

Nieprzyjaciel, przez kilka dni ugoda łudzony, zdziwił się, ujrzawszy wojsko polskie, wychodzące w porządnym szyku i jakby nowemi wzmocnione siłami.

Z okropną wrzawą, hukiem kotłów i surm,

przyskoczyły gęste hufy Tatarów i Turków, nacierając na tabor i przeszkadzając dalszemu postępowaniu. Wszystko to jednak nie zwolniło ani o krok pochodu wojska, nie zmieszało szeregów.

Dniem zatrzymywano się dla spoczynku, lecz z ostatnimi promieniami zagasłej zorzy wieczornej. wyruszano znowu w dalszy pochód.

Postępowano w mroku, wśród trudnej do przebycia drogi, pełnej przykrych wzgórz, błotnistych grzędzawisk i zarośli. Dniem i nocą nie zdejmowane zbroje ciążyły żołnierzom i sinemi pręgami ciała im znaczyły.

A tu nieprzyjaciel coraz to hurmem, z wielkim krzykiem usiłował złamać szereg, to znów w małych rotach, w milczeniu i jakby ukradkiem zbliżał się, napadał i nie dawał chwili wytchnienia ani wodzom, ani żołnierzom.

I tak dnie przechodziły za dniami.

Zwycięski tabor, niby ruchoma forteca, pomału, lecz ciągle postępował naprzód, wśród rot nieprzyjacielskich, zewsząd wrogiem i gęstym ogniem strzał otoczony.

Nakoniec sił poczęło brakować bohaterskiemu rycerstwu.

Gdzie dawniej zieleniły się żyzne niwy, wznosiły się ludne wsie i osady, obecnie nieprzyjaciół wszystko zniszczył i spalił; a co przed wściekłością ludzką uszło to ciągnąca naówczas szarańcza dogryzała i z ziemią zrównała. Tabor postępował przez te puste niwy, jak przez cmentarzysko, a chmury piasku i popiołu z poblizkich pogorzelsk otaczały już jakby czarnym całunem ten rozpaczliwy pochód. Dzicy Tatarzy, jak rozjuszony wilki, dopadają, usiłują wcisnąć się pomiędzy tabór, opierających się przełamać; nasi nie ustępują, siekają, bodą i odpędzają natarczywość nieprzyjaciela. Rozpacz dodawała odwagi: ni krew, ni rany nie zatrzymują nikogo, słabemi barkami wspierają jedni drugich i nieraz przeszyci licznemi strzałami padają ranni z umarłemi społem.

Nadeszła nakoniec pamiętna noc z szóstego na siódmy października.

Żołnierz w ciągłych walkach, bez pokarmu, bez napoju, znużony bezsennością padał między trupy końskie i ginął marnie bez strzały nieprzyjacielskiej.

Wówczas gdy ostateczne zniechęcenie poczyną rozprzęgnać wojsko, wodzowie wołać poczynają:

— Dobądźcie sił ostatek, o milę tylko od Dniestru stoimy, a za nim już miła ojczyzna, spokój, wytchnienie...

Słowa te pokrzepiają zemdlonych.

Niestety, tylna straż taboru natrafiła przypadkiem na stodoły napełnione sianem i zbożem. W mniemaniu, że niebezpieczeństwo minęło, zatrzymała się część żołnierzy, zabierając łupy i juczając je na wozy i konie. W ciemnościach nocy nie spostrzeżono tego w przednich szeregach. I gdy tętent zbliżających się koni dał się słyszeć, wojsko mniemając, że to Tatarzy, zmieszało szyki, powstał nieład i zamieszanie.

Tym razem skorzystał nieprzyjaciel z zaszłego w obozie naszym nieporządku.

Rozjuszony tłumy barbarzyńców wpadają w rozzerwane już rotę i wszczyna się rzeź straszliwa.

Żółkiewski, widząc ostateczną zgubę, postanawia nie przeżyć straty ukochanego wojska.

Ściska syna za rękę, bierze rozgrzeszenie od ks. Karmelity, swego spowiednika — i rzuca się z szablą w rękę na tłumy nieprzyjaciela.

Wtem jeden z rotmistrzów podaje mu konia, zaklinając, aby się ratował.

Oburzony hetman myśla ocalenia siebie, gdy wojsko ginie. uderza konia ostrzem żelaza, a sam po raz drugi rzuca się w wir walki.

Wkrótce mając koło siebie syna i synowca, w nierównym boju, traci rękę, potem niepoznany wśród nocy, pod tysiącami ciosów upada.

Tak umarł, jak przyrzekł królowi: „nie przeżył niesławy, poległ za sławę św. katolicką, za króla, za ojczyznę swoją!”

OBLĘŻENIE ZBARAŻA.

(1649 r.)

(Z Sienkiewicza: *Ogniem i Mieczem*).

Było to za nieszczęśliwych rządów Jana Kazimierza.

Zbuntowani Kozacy, pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, sprzymierzeni z chanem tatarskim, niszczyli ogniem i mieczem południowo wschodnie ziemie Rzeczypospolitej.

Z wiosną jak szarańcza rzucili się na bujne niwy Ukrainy. Odtąd zdawało się, że powódź step zalała, i pędzi naprzód i wzbiera wszystkimi wodami po drodze. Bo siły kozackie wzrastały: coraz nowe gromady chłopów, uciekających z Ukrainy, łączyły się ustawicznie. A nie tylko uciekali oni na spotkanie Chmielnickiego w Dzikie Pola, ale palili

wsie i miasta, rzucali się na szlachtę i uzbrajali powszechnie.

Chmielnicki szedł wciąż naprzód wśród buntu, rzezi i ognia.

Pod Żółtymi-Wodami wojska polskie poniosły straszną klęskę. Pożar ogarnął całą okolicę. Co żyło, chwytano za kosy, piki i łączyło się z Zaporozem. Tłumy niezmierne czerni spływały do obozu ze wszystkich stron.

Chmielnicki tryumfował.

Szedł jak lawina, niszcząc wszystko po drodze. Kraj przed nim powstawał, za nim pustoszał. Szedł jak mściciel, jak legendowy smok. Kroki jego wyciskały krew, oddech wzniecał pożary.

Pod Korsuniem hetmani wpadli w sromotną niewolę.

Rzeczpospolita leżała w prochu i krwi u nóg Kozaka.

Wówczas dopiero wszystkie wojska koronne zgromadziły się w Zbarażu.

Był tam Lanckoroński, kasztelan kamieniecki, który pod Borem pierwszej gromił, i pan Firlej z Dąbrowicy, kasztelan bełzki, i pan Andrzej Sierakowski, pisarz koronny, i pan Koniecpolski, chorą-

ży i pan Przyjemski, generał artylerji, wojownik, szczególnie w zdobywaniu miast i urządzaniu obro-ny biegły. A z nimi dziesięć tysięcy wojska kwar-cianego, nie licząc kilku chorągwi księcia Jeremie-go Wiśniowieckiego, które już poprzednio w Zba-rażu stały.

Pan Przyjemski na południowych stokach mia-sta i zamku, za rzeczką Gnieszną i dwoma stawami, zatoczył potężny obóz, który cudzoziemską sztuką ufortyfikował, a który tylko z przodu moż-na było zdobyć, bo tyłów broniły stawy, zamek i rzeczka.

W tym to obozie mieli zamiar regimentarze dać opór Chmielnickiemu i zatrzymać nawałnicę dopóty, dopóki król, z resztą sił i pospolitem ru-szeniem wszystkiej szlachty nie nadciągnął. Ale czy był to zamiar wobec potęgi Chmielnickiego po-dobny do spełnienia? Wielu wątpiło i słuszne przy-taczało wątpliwości powody, a między innymi i ten, że w samym obozie źle się działo.

Naprzód między wodzami wrzała tajona nie-zgoda.

Regimentarze poniewoli przyszli pod Zbaraż, ulegając w tem żądaniu księcia Jeremiego. Mieli

oni inne zamiary, ale gdy rozeszła się wieść, że Jeremi obiecuje stanąć własną osobą tylko w takim razie, jeżeli Zbaraż na miejsce obrony będzie wybrany, żołnierstwo natychmiast oświadczyło królewskiemu wodzom, że chce iść na Zbaraż i gdzieindziej bić się nie będzie. Nie pomogły żadne perswazyje, ani powaga buławy i wkrótce regimentarze poznali, że jeżeli w dłuższym oporze trwać będą, tedy wojska, począwszy od poważnych znaków husarskich, aż do ostatniego żołnierza z rot cudzoziemskich, opuszczą ich i zbiegną pod chorągwie Wiśniowieckiego.

Był to jeden z tych smutnych, coraz częstszych w owym czasie przykładów niekarnośći wojskowej, którą zrodziły zarazem nieudolność wodzów, niezgody ich między sobą i bezprzykładna groza przed potęgą Chmielnickiego.

Tak więc regimentarze musieli ruszyć pod Zbaraż, gdzie władza, mimo nominacyi królewskich, miała siłą rzeczy przejść w ręce Wiśniowieckiego, bo jego jednego tylko chciało słuchać wojsko, bić się i ginąć pod nim jednym.

Ale tymczasem tego faktycznego wodza nie było jeszcze w Zbarażu, więc niepokój w wojsku wzra-

stał, karność rozluźniała się do reszty i serca upadały.

Już było bowiem wiadomo, że Chmielnicki, a z nim chan ciągną potęgą, jakiej od czasów Tamerlana nie widziały ludzkie oczy.

Coraz nowe wieści nadlatywały do obozu, jakby złowrogie ptactwo, coraz nowe, coraz straszliwsze posłuchy, i wąliły męstwo żołnierza.

A nie brakowało i wróżb złowrogich.

Dnia ósmego lipca, we czwartek, straszliwa burza rozszalała nad miastem i świeżo zatoczonymi wałami obozu.

Deszcz walił potokami. Część robót ziemnych spłynęła. Gniezna i oba stawy wezbrały. Wieczorem piorun huknął w piechotną chorągiew Firleja, zabił kilku ludzi, a samą chorągiew roztrzaskał na szczepki.

Poczytano to za zły omen.

Burza też szalała bez przerwy. Wały, lubo wzmocnione kamieniami, łożą i ostrokołem, rozmiękły tak, że armaty poczęły grzęznąć. Musiano podkładać deski pod granatniki i moździerze. W głębokich fosach szumiała woda na chłop wysoko. Noc nie przyniosła spokoju. Wicher gnał od wschodu

coraz nowe, olbrzymie zwały chmur, które kłębiąc się i przelewając ze strasznym łoskotem po niebie, wyrzucały nad Zbarażem wszystek swój zapas dżdżu, gromów, błyskawic...

Nazajutrz było już lepiej, chociaż deszcz jeszcze popadywał.

Dopiero koło piątej w południe wiatr popędził chmury, błękit roztoczył się nad obozem, a w stronie starego Zbaraża zajaśniała przepyszna, siedmio-barwna tęcza, której potężny łuk jednym ramieniem za Stary Zbaraż przechodził, drugim zdawał się ssąć wilgoć z Czarnego lasu — i świecił się, i mienił, i grał na tle chmur uciekających.

Wówczas otucha wstąpiła w serca. Rycerstwo wstąpiło na wały, aby widokiem tęczy oczy weseścić. Zaraz poczęto rozprawiać gwarnie i zgadywać, co ten pomyślny znak zwiastuje, gdy wtem pewien rycerz przysłonił swe rysie oczy ręką i zakrzyknął:

— Wojsko z pod tęczy wychodzi! wojsko!

Zrobił się ruch, jakby wichur poruszył masę ludzi, a potem szmer zerwał się nagle. Słowa: „wojsko idzie“ przeleciały, jakby strzała, od jednego końca wałów do drugiego. Żołnierze poczęli się cisnąć, popychać, skłębiać. Szmary zrywały się, ci-

chły; wszystkie dłonie spoczęły nad oczyma, wszystkie oczy wbiły się z wyteżeniem w dal—serca tłukły się w piersiach—i patrzeli tak wszyscy, oddech w piersiach wstrzymując, zawieszeni między niepewnością i nadzieją. .

A wtem pod siedmiobarwną bramą zamajaczało coś, i majaczało coraz wyraźniej, i wynurzało się z dali, i zbliżało coraz bardziej, i widniało coraz dokładniej — aż w końcu ukazały się chorągwie, proporce, buńczuki, później las proporczyków — oczy nie dały dłużej wątpić: było to wojsko.

Wówczas jeden olbrzymi okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi, okrzyk niepojętej radości:

— Jeremi! Jeremi! Jeremi!

Najstarszych żołnierzy ogarnął poprostu szal. Jedni rzucili się z wałów, przebrnęli fosę i biegli piechotą, przez zalaną wodą równinę ku zbliżającym się pułkom; drudzy lecieli do koni; inni śmieli się, inni płakali, składali ręce i wyciągali je ku niebu, wołając:

— „Idzie nasz ojciec, nasz zbawca, nasz wódz!

Zdawaćby się mogło, że oblężenie już zdjęte, Chmielnicki pokonany i zwycięstwo odniesione.

Tymczasem pułki księcia podchodziły coraz bli-

żej, tak, że już można było rozróżnić znaki. Promienie słońca łamały się na ich zbrojach, na grotach sterzących kopii; — szli wszyscy w blaskach niezwykłych, jakby już ich otaczała gloria zwycięstwa.

Nadbiegła tuż i starszyzna, by oglądać wejście książęce: więc trzech regimentarze, z nimi pan Przyjemski i oficerowie, tak z chorągwi polskich jak i cudzoziemskiego autoramentu. Podzielali oni ogólną radość, a szczególnie pan Lanckoroński, regimentarz, większy rycerz aniżeli wódz, ale w sławie wojennej rozkochany, wyciągnął buławę w stronę skąd przychodził Jeremi i mówił tak głośno, że go wszyscy słyszeli.

— Oto tam nasz najwyższy wódz i ja pierwszy dank i władzę swą mu oddawam.

Pułki książęce zaczęły wchodzić do obozu. Było wszystkiego ludu trzy tysiące, ale za to sto tysięcy serc przyrosło — bo byli to przecie wszystko zwycięzcy z pod Pohrebyszcz, Niemirowa, Machnówki i Konstantynowa. Witali się tedy znajomi i przyjaciele. Za lekkimi pułkami wtoczyła się nakońiec z trudem i artylerya Wurclowska, prowadząc cztery hakownice, dwie oktawy srodze donośne i sześć zdobycznych organków. Książę, który ze Sta-

rego Zbaraża pułki ekspedycyował, wjechał dopiero wieczorem, po zachodzie słońca.

Zbiegło się, co żyło, na jego spotkanie.

Żołnierze, pozapalawszy kaganki, ogarki, pochodnie i szczapy łuczywa, otoczyli tak książęcego dzianeta, że postępować nie mógł. Chwymano go też za cugle, by oczy widokiem bohatera dłużej napoić. Całowano suknie książęce, a samego ledwie, że nie porwano na ramiona. Uniesienie doszło do tego stopnia, że nie tylko żołnierze z pod polskich znaków, ale i rotty cudzoziemskie oświadczyły, że przez kwartał darmo będą służyć.

Coraz większy tłok czynił się naokoło księcia, tak, że kroku już postąpić nie mógł—siedział więc na swym białym dzianecie, otoczony żołnierstwem, jak pasterz między owcami, a okrzykom i wiwatom nie było końca. Wieczór się zrobił cichy i pogodny. Na ciemnem niebie zabłysły tysiące gwiazd i wnet zjawily się pomysne wróżby.

Właśnie gdy pan Lanckoroński zbliżył się do księcia z buławą w ręku, by mu ją oddać, jedna z gwiazd, oderwawszy się od sklepienia i ciągnąc za sobą strugę świetlną, spadła z hukiem w stronie, skąd miał nadciągnąć Chmielnicki i zgasła.

— To Chmielnickiego gwiazda! — krzyknęli żołnierze.

— Wiwat Jeremi victor! powtarzało tysiące głosów.

A wtem kasztelan kamieniecki zbliżył się i dał znak ręką, że chce mówić. Uciszyło się zaraz, a on rzekł:

— Król mnie dał buławę, ale ja ją w twoje, godniejsze ręce, zwycięzco, oddaję i pierwszy twoich rozkazów chcę słuchać.

— I my z nim! — powtórzyli dwaj inni regimentarze.

Trzy buławy wyciągnęły się ku księciu, ale on rękę cofnął i odrzekł:

— Nie ja waszmościom dawałem buławy, więc ich nie będę odbierał.

— Bądź więc nad trzema — czwartą! rzekł Firlej.

— Wiwat Wiśniowiecki! wiwat regimentarze! — krzyknęło rycerstwo. Żyć i umierać razem chcemy!

W tej chwili dzianet książęcy podniósł łeb, wstrząsnął farbowaną purpurową grzywą i zarżał potężnie, aż wszystkie konie w obozie odpowiedziały mu jednym głosem.

Poczytano i to za przepowiednię zwycięstwa. Żołnierze mieli ogień w oczach. Serca rozpały się pragnieniem walki, dreszcz zapachu przeszedł przez ciała. Starszyna nawet podzielała ogólne uniesienie. Wyciągano ręce w ciemności, wołając do spodziewanego nieprzyjaciela:

— Bywajcie, psubraty! znajdziecie nas gotowych.

Dzień następny zeszedł na oczekiwaniu i rozporządzeniach do obrony. Księżę, przyjąwszy bez dłuższych wahań naczelne dowództwo, szykował wojsko, wyznaczał każdemu, gdzie miał stać, jak się bronić i jak innym w pomoc przychodzić.

W obozie zapanował najlepszy duch; karność była przywrócona, a zamiast dawnego zamieszania, krzyżowania się rozporządzeń, niepewności—widziałeś wszędy ład i sprawność. Do południa wszyscy byli na swych pozycjach. Straże przed obozem rozrzucone donosiły każdej chwili, co dzieje się w okolicy. W pobliskich wioskach wysłana czeladź brała żywność i paszę, ile się jeszcze gdzie dało złapać. Żołnierz stojący na wałach, gwarzył wesoło i śpiewał, a noc spędzano, drzemiąc przy ogniskach, z ręką na szabli, w takiej gotowości, jakby lada chwila szturm miał nastąpić.

Jakoż świtaniem poczęło się coś czernić w stronie Wiśniowca. Dzwony uderzyły w mieście na trwogę, a w obozie długie, żałosne głosy trąb pobudziły czujność żołnierzy. Piesze regimenta wyszły na wały, w przerwach stanęła jazda, gotowa zerwać się za pierwszym znakiem do ataku, a przez całą długość okopu wzniosły się dymki od zapalonych lontów.

W tej samej chwili zjawił się książę na swoim białym dzianecie. Ubrany był w srebrne blachy, ale bez hełmu. Najmniejszej troski nie było znać na jego czole; owszem wesołość biła mu z oczu i twarzy.

— Mamy gości, mości panowie! mamy gości! — powtarzał, przejeżdżając wzdłuż wałów.

Na widnokręgu ukazały się pierwsze szeregi kozackie i tatarskie, za nimi drugie, trzecie, dziesiąte, setne, tysiączne. Rzekłbyś: wszystkie lasy, chaszcze zerwały się nagle z korzeni i idą na Zbaraż. Napróżno oczy ludzkie szukały końca tych szeregów: jak wzrok sięgnął, czerniło się mrowie ludzkie i końskie, ginące w dymach i łunach oddalenia.

Wiśniowiecki patrzył z okopu na nieprzejrzanymy tatarskie, kozackie — i napróżno starał się je

objąć okiem—Chmielnicki spoglądał z pola na zamek i obóz, myśląc w duszy :

Tam mój wróg najstraszliwszy; gdy tego zetnę, któż mi się oprze?

Łatwo to było zgadnąć, że walka między tymi dwoma ludźmi będzie długa i zaciekła, ale rezultat nie mógł być wątpliwy. Ów książę na Żubniach i Wiśniowcu stał na czele piętnastu tysięcy ludzi, licząc w to i sługi obozowe, gdy tymczasem za chłopskim wodzem szły ludyszcza, mieszkające od morza Azowskiego i Donu, aż do ujścia Dunaju. Szedł więc z nim chan, na czele ordy Krymskiej, Białogrodzkiej, Nohajskiej i Dobrudzkiej — szedł lud, który na wszystkich dorzeczach Dniestru i Dniepru zamieszkiwał, szli niżowi i czerń niezliczona—ze stepów, jarów, borów, miast, miasteczek, wsi i futorów, i ci wszyscy, którzy pierwsi w koronnych i dworskich chorągwiach służyli; szli Czerkasowie, Karałasze wołoscy, Turcy sylistryjscy, Turcy rumelijscy; szły nawet różne watahy Serbów i Bułgarów. Zdawać się mogło, że to nowa wędrówka narodów, które porzuciły mroczne stepowe siedziby, ciągną na zachód, by nowe ziemie zająć, nowe państwo utworzyć.

Taki to był stosunek sił walczących... garść przeciw krociom, wyspa naprzeciw morzu! Wiele nie dziwota, że nie jedno serce biło trwogą, i że nie tylko w mieście, nie tylko w tym kraju, ale w całej Rzeczypospolitej patrzono na ten samotny okop, otoczony powodzią dzikich wojowników, jak na grobowiec wielkich rycerzy i wielkiego ich wodza.

A jednak Zbaraż nie został zdobytym, mały szaniec oparł się niezmierzonej potędze.



Obrona Częstochowy.

(Z Potopu H. Sienkiewicza).

Fala najazdu szwedzkiego zalała kraj cały.

Województwo po województwie, dewizya po dewizyi poddawała się Karolowi Gustawowi.

Jan Kazimierz, król tułacz, chronił się za-granicą, otoczony garstką wiernych. Ale i z tych wiernych coraz ktoś go opuszczał i do Szwedów przechodził. Karol Gustaw przyjmował ich z otwartymi rękoma, nagradzał, obietnicami obsypywał, resztę wiernych kusił, przyciągał, coraz szerzej panowanie roztaczał; sama fortuna usuwała mu z przed nóg wszelkie przeszkody, polskimi siłami Polskę podbijał, bez boju zwyciężał.

Kraj płonął pożarami; nad miastami ciążyła zbrojna pięść żołnierska, w lasach zbój napadał. O poprawie Rzeczypospolitej, o ratunku, o zrzuce-

niu jarzma, nikt nie myślał... Nadziei nikt nie miał... Wyglądano kto ostatni cios zada konającej Rzeczypospolitej...

Ósmego listopada wojska szwedzkie podeszły pod Częstochowę.

Noc była ciemna i dżdżysta. Nadchodziła wczesna zima i wraz z falami deszczu leciały na ziemię pierwsze płatki rozmokłego śniegu. Ciszę przerywały tylko przeciągłe głosy straży, wołające od baszty do baszty: « czuwaaaj! » — w ciemnościach przemykał się tu i owdzie biały habit księdza Kordeckiego, przeora zakonu.

Zresztą całe miasto pogrążone było w uśpieniu.

Nagle w dole w ciemności ozwały się przeraźliwe dźwięki trąb i poczęły grać długo, żałośnie, strasznie. Zerwali się wszyscy ze snu w osłupieniu, w przerażeniu i pytali się siebie wzajem:

— Zali to nie trąby na sąd grają w tej głuchej nocy?...

Poczem zakonnicy, żołnierze, szlachta, poczęli wysypywać się na majdan. Dzwonnicy pobiegli do dzwonów i wkrótce ozwały się wszystkie: wielkie, mniejsze i małe, jakby na pożar, mieszając swe jęki z odgłosem trąb, które grać nie ustawały.

Rzucono zapalone lonty do beczek ze smołą, umyślnie przygotowanych i przywiązanych do łańcuchów, następnie pociągnięto je korbami w górę. Czerwone światło oblało podnóże skały i wówczas to Jasnogórcy ujrzeli najprzód oddział konnych trębaczy, najbliżej stojących, z trąbami przy ustach, za nimi długie i głębokie szeregi rajtaryi z rozwianemi banderyami.

Trębacze grali jeszcze czas jakiś, jakby chcieli temi mosiężnemi dźwiękami wypowiedzieć całą potęgę szwedzką i do reszty przerazić zakonników; nakoniec umilkli; jeden z nich oderwał się od szeregu i powiewając białą chustą, zbliżył się do bramy.

— W imieniu jego królewskiej mości—zawołał trębacz — najjaśniejszego króla Szwedów, Gotów, Wandalów, wielkiego księcia Finlandyi, Estonii, Karelii, Bremy, Werdy, Szczecina, Pomeranii, Kaszubów, Wandalii, księcia Rugii, pana Ingryi, Wismarku i Bawaryi, hrabiego Palatyna Reńskiego, Juljahu, Kliwii, Bergu... otwórzcie!...

— Puścić! — ozwał się głos księdza Kordeczkiego.

Otworzono, ale tylko furtkę w bramie. Jeździec

zawahał się przez chwilę, wreszcie zlął z konia, wszedł w obręb murów i spostrzegłszy gromadkę białych habitów, spytał:

— Który pomiędzy wami jest przełożonym zakonem?

— Jam jest! — rzekł ksiądz Kordecki.

Jeździec podał mu pismo z pieczęciami, sam zaś rzekł:

— Pan hrabia Wrzeszczowicz będzie u św. Barbary oczekiwał na odpowiedź.

Ksiądz Kordecki wezwał natychmiast na naradę do definitoryum zakonników i szlachtę.

.

Wrzeszczowicz, Polak, ale ciałem już i duszą zaprzędany Szwedom, wzywał podstępnie w swem piśmie zakonników, aby przyjęli jego pomoc i pozwolili wkroczyć wojskom do miasta. W przeciwnym razie groził, że straszny szwedzki dowódzca Müller weźmie Częstochowę,

Niektórzy dali się uwieść układowemu pismu Wrzeszczowicza.

Lecz nikt nie zabierał głosu, czekając, co powie ksiądz Kordecki; on zaś milczał przez chwilę,

tylko wargi jego poruszały się cichą modlitwą, poczem rzekł:

— Zaliby prawdziwy przyjaciel podchodził porą nocną i tak okropnym głosem surmów i tręb prze-
rażał śpiące sługi Boże? Zaliby przybywał na cze-
le tych tysięcy zbrojnych, które teraz pod murami
stoją?... Bracia najmilsi, wspomnijcie, że nigdy ów
nieprzyjaciel nie dotrzymał słowa, ni przysięg.
Niech każdy ku niebu serce podniesie, aby go Duch
Święty oświecić raczył i radźcie potem, mówcie.
co któremu sumienie i wzgląd na dobro świętego
przybytku dyktuje.

Nastała cisza.

Tu oczy wszystkich zwróciły się na pana
Zamoyskiego, najstarszego wiekiem, powagą i urzę-
dem, on zaś powstał i w następujące ozwał się
słowa:

— Jakiejże rady my, goście, udzielić wam mo-
żemy? Jednakże ponieważ pytacie nas, wielbni
ojcowie, co czynić, więc odpowiadam: póki koniecz-
ność nas nie zmusi, niechże daleką od nas będzie
myśl poddania. Haniebna albowiem i niegodziwa
rzecz jest sromotną uległością niepewny pokój u
wiarołomnego nieprzyjaciela okupować. Schroniliśmy

się tu z własnej woli z żonami i dziećmi, oddając się w opiekę Najświętszej Pannie, z niezachwianą zatem wiarą postanowiliśmy żyć z wami, a jeśli tak Bóg zechce, to i umierać razem...

Tu umilkł pan miecznik sieradzki; wszyscy rozważali słowa jego, krzepiąc się ich treścią, a młodziwiec pewien gorącego serca, skoczył i do ust rękę starszego męża przycisnął.

Zbudowali się tym widokiem obecni i każdy dobrej wróżby w tym młodzieńczym zapale dopatrzył, a chęć bronienia klasztoru wzrosła i ogarnęła serca.

Wtem zdarzyła się i nowa wróżba: za oknem refektarza rozległ się niespodzianie drżący i stary głos żebraczki kościelnej Konstancyi, śpiewającej pieśń pobożną.

Próżno przegrasz mi. husycie srogi,
Próżno dyabelskie wzywasz w pomoc rogi,
Naprawdę palisz i krwi nie żałujesz,
Mnie nie zwojujesz!
Chcoby tu przyszły poganów tysiące,
Choćby na smokach wojska latające,
Nie nie wskórają miecz, ogień, ni męże,
Bo ja zwyciężę!

— Oto dla nas przestroga — rzekł ksiądz Kor-

decki—którą nam Bóg przez usta starej żebraczki zsyła. Brońmy się, bracia, brońmy!

— Z radością gardła damy! — zawołał pan Piotr Czarniecki.

.
— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!
W imię Najczystszej i Najświętszej Bogarodzicielki!
Na mury, bracia!—rzekł uroczystym głosem ksiądz Kordecki.

— Na mury, na mury! — rozległ się jeden okrzyk.

W chwilę potem jasny płomień oświecił podnóże klasztoru. Wrzeszczowicz kazał zapalić zabudowania przy kościele świętej Barbary. Pożar ogarnawszy stare domostwa, wzmagął się z każdą chwilą. Wkrótce słupy czerwonego dymu wzbiły się ku niebu, wśród których świeciły jaskrawe języki ognia. Nakoniec jedna łuna rozlała się na chmurach.

Przy blasku ognia widać było oddziały konnych żołnierzy, przenoszących się szybko z miejsca na miejsce. Rozpoczęły się zwykłe swawole żołnierskie. Rajtarowie wyganiali z obór bydło, które biegając w przerażeniu, napełniało żalosnym rykiem powietrze; owce zbite w gromady, cisnęły się na

oślepił do ognia. Wielu z obrońców po raz pierwszy widziało krwawe oblicze wojny i tych serca zdrętwiały z przerażenia na widok ludzi gnanych przez żołnierzy i sieczonych mieczami, na widok niewiast ciągnionych po majdanie za włosy. A przy krwawych blaskach pożaru, widać było wszystko jak na dłoni. Krzyki, a nawet słowa dochodziły doskonale do uszu obleżonych.

W tymże czasie ozwały się polowe armatki, które Wrzeszczowicz ze sobą przyprowadził. Nie mógł on z nich zburzyć fortecy, jak również nie mógł myśleć o zdobyciu jej, mając ze sobą tylko jazdę, ale na postrach księżom walić kazał.

Ksiądz Kordecki pojawił się przy panu Czarneckim, a z nim ksiądz, który artylerją klasztorną w czasie pokoju zawiadywał i w święta na wiaty ognia dawał.

Przeor przeżegnał działo i wskazał je księdzu, a ów rękawy zakasał i począł je rychtować w lukę między dwoma budynkami, w której wicherzyło się kilkunastu jeźdźców, a pomiędzy nimi oficer z rapirem w ręku. Długo celował ksiądz, bo chodziło o jego reputację. Wreszcie wziął lont i przytknął do zapалу.

Huk wstrząsnął powietrzem i dym widok zasłonił. Po chwili jednak wiatr go rozniósł. W luce między budynkami nie było już ani jednego jeźdźca. Kilku wraz z końmi leżało, inni pierzchli.

Zakonnicy poczęli śpiewać na murach. Trzask zapadających się budynków przy św. Barbarze wtórował pieśni.

Trąby znów zagrały w szeregach Wrzeszczowicza, lecz odgłos ich począł się oddalać. Pożar dogasał. Ciemność ogarniała podnóże Jasnej Góry. Tu i owdzie ozwało się rżenie koni, ale coraz dal-
sze, słabsze. Wrzeszczowicz cofał się ku Krzepicom.

Ksiądz Kordecki ukląkł na murze.

— Maryo ! Matko Boga jedyne ! — rzekł silnym głosem — spraw, aby ten, który po nim nadejdzie, oddalił się również ze wstydem i próżnym gniewem w duszy.

Gdy tak się modlił, chmury nagle przerwały się nad jego głową i jasny blask miesiąca pobielił wieże, mury, klęczącego przeora i zgliszcza spalonych przy św. Barbarze budowli.

Była to pierwsza potyczka.

Następnie nadciągnął groźny Müller z doborowym wojskiem i doskonałemi armatami.

W końcu listopada rozpoczęło się prawdziwe oblężenie. Generał szwedzki liczył, że w parę dni twierdzę weźmie, tymczasem oblężenie przeciągnęło się cały miesiąc.

Co za chwile nastały dla cichych zakonników!

Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicą na błyskawice, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersiach starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągnęło się nad klasztorem.

Co za widoki dla ludzi, którzy nie nawykli patrzeć w krwawe oblicze wojny!

Ów huk nieustający, błyskawice, dymy, wycia kul rozdzierających powietrze, straszliwy chychot granatów, szczekanie pocisków o bruki, głuche uderzenia o ściany, dźwięk rozbijanych szyb, wybuchy pękających kul ognistych, świst ich skorup, chrobot i trzaskanie dyłowań, chaos, zniszczenie, piekło!

W czasie tego ani chwili spoczynku, ani oddechu dla zdyszanych dymem piersi, coraz nowe stada kul, a wśród zamieszania głosy przerażające w różnych stronach twierdzy, kościoła i klasztoru.

— Pali się! wody! wody!

— Na dachy z bosakami!... Płacht więcej!

Na murach zaś okrzyki rozgrzanych walką żołnierzy :

Wyżej działo, wyżej!... ognia!... ognia!...

A biały habit księdza Kordeckiego zjawiał się zawsze tam, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo.

Z duszy tej, nateżonej ze wszystkich sił ku Bogu, wiara płynęła spokojnym i głębokim strumieniem; wszyscy ją pili pełnemi usty i kto miał duszę chorą, ten zdrowiał. Gdzie zabielał jego habit, tam pogoda czyniła się na twarzach ludzkich, oczy się śmiały, a usta powtarzały: «Ojciec nasz dobry, pocieszyciel, obrońca, nadzieja nasza». — Całowano jego ręce i szaty, on zaś uśmiechał się jak zorza i szedł dalej, a koło niego, nad nim i przed nim szła ufność i pogoda.

Czasem bywał dzień lub parę dni odpoczynku, wówczas brano się do naprawy murów. wzmacniania szaniec i koniecznego odpoczynku.

Lecz po tych krótkich przerwach, wały pokrywały się sinymi chmurami dymu, a klasztor wnet odpowiadał też ogniem.

Kto nie brał udziału w walce, kto nie był przy armatach, ten siedział na dachach. Jedni czerpali wodę w studniach, drudzy ciągnęli sznurami wiadra, trzeci tłumili pożar mokremi płachtami. Niektóre kule wpadały na strychy i woń spalenizny napełniała budynki. Lecz i na strychach czuwali obrońcy z beczkami wody. Najcięższe bomby przebijały nawet pułapy. Mimo nadludzkich wysiłen, mimo czujności, zdawało się, że pożoga prędzej czy później musi ogarnąć klasztor. Pochodnie i kłęby konopne, spychane drągami z dachów, utworzyły pod ścianami stosy gorejące. Okna pękały od żaru, a niewiasty i dzieci w izbach dusiły się dymem i gorącym. Ledwie pogaszono jedne pociski, ledwie wody spłynęły po zrębach, leciały nowe stada rozpalonych kul, płonących szmat, skier żywego ognia. Cały klasztor był nim objęty, rzekłbyś, niebo otworzyło się nad nim i ulewa piorunów nań spada; jednak gorzał, a nie palił się, płonął, a nie zapadał w rumowisko; co więcej, wśród tego morza płomieni śpiewać począł, jak ongi młodzieńcy w piecu ognistym.

Ludziom stojącym na murach i pracującym przy działach, którzy w każdej chwili mogli sądzić, że

tam już wszystko płonie i w gruzy się wali za ich plecami, pieśń ta była jakby balsam kojący, zwiastowała im bowiem ciągle i ustawicznie, że stoi klasztor, stoi kościół, że płomień dotąd nie zwyciężył wysilen ludzkich.

Lecz i w obozie szwedzkim czyniła owa pieśń niemałe wrażenie. Żołnierze na szańcach słuchali jej naprzód z podziwem, potem z zabobonnym strachem.

— Jakto?—mówili między sobą—rzuciliśmy na ów kurnik tyle żelaza i ognia, że niejedna potężna twierdza z popiołem i dymem jużby uleciała, a oni sobie wygrywają radośnie... Co to jest?...

— Czary!—odpowiadali inni.

Wreszcie jednak, przy końcu grudnia i dla jasnogórców nastały dni trwogi. Wieść gruchnęła, że Szwedzi znaleźli przechód podziemny, idący pod samym klasztorem i że stamtąd wysadzą całą twierdzę w powietrze.

Niewiasty z płaczem poczęły oblegać mieszkanie przeora, wyciągając ku niemu dzieci, gdy ukazywał się, i wołały:

— Nie gub niewinnych!... Krew ich spadnie na ciebie!

Im kto większym był tchórzem, z tem większą odwagą nacierał teraz na ks. Kordeckiego, by nie narażał na zgubę świętego miejsca.

Nastały tak ciężkie chwile i tak bolesne dla nieugiętej duszy tego bohatera w habicie, jakich nigdy nie bywało.

Szwedzi zaniechali szturmów, aby tym dowodniej okazać obleżonym, że już nie potrzebują ni kul, ni armat, że dość im jedną nitkę prochową zapalić...

Lecz dla tych samych powodów przerażenie rosło w klasztorze.

W czasie głuchych nocy niektórym wydawało się, że słyszą już pod ziemią jakieś szmery, jakieś ruchy, że Szwedzi są już pod samym klasztorem.

Przyszedł wreszcie wieczór wigilijny.

O pierwszej gwieździe zamigotały światła i światełka w całej fortecy. Noc była spokojna, mroźna, lecz pogodna.

Szwedzcy żołnierze, kostniejąc z zimna na szaniecach, spoglądali z dołu na czarne mury niedostępnej fortecy i na myśl przychodziły im ciepłe, mchami utkane chaty skandynawskie, żony, dzieci, choi-

nowe drzewka, płonące od świeczek i niejedna żelazna pierś wezbrała westchnieniem, żalem, tęsknotą, rozpaczą.

A w twierdzy przy stołach, okrytych sianem, oblężeni łamali się opłatkami. Cicha radość płonęła na wszystkich twarzach. Pogrożki Szwedów co do podkopu okazały się płonnemi i każdy miał przecucie, że czasy niedoli miną już rychło.

Żołnierze i zakonnicy życzyli sobie wzajem pomysłności, długich lat lub niebieskiej korony i taka ulga spadła na wszystkie serca, jakby już bieda minęła.

Potem porozchodzili się: zakonnicy do kościoła, żołnierze na cichy postój i strażowanie przy bramach i murach. Lecz wielka czujność była zbyteczną; i w szwedzkim obozie panowała niezamącona spokojność. Sami oni oddali się spoczynkowi i rozmyślaniom, bo i dla nich zbliżało się najuroczystsze ze świąt.

Noc była także uroczysta. Roje gwiazd świeciły na niebie, mieniając się różowo i błękitno. Blask księżyca barwił na zielono całuny śnieżne, rozciągnięte między fortem a nieprzyjacielskim obozem. Wiatr nie wiał i taka była cisza, jakiej od

początku oblężenia pod tym klasztorem nie bywało.

O północy żołnierze szwedzcy usłyszeli płynące łagodnie z wyniosłości tony organów, potem głosy ludzkie dołączyły się do nich, potem dźwięki dzwonów i dzwonków. Wesele, otucha i wielki spokój były w tych dźwiękach i tem większe zwątpienie, tem większe uczucie niemocy ścisnęło serca szwedzkie.

Żołnierze polscy, szwedom służący, nie pytając o pozwolenie, podeszli pod same mury. Nie puszczano ich do środka, w obawie jakowej zasadzki, którą noc mogła ułatwić, lecz pozwolono stać blisko przy murach. Oni też zebrali się całą gromadką. Jedni poklękali na śniegu, inni kiwali żałośnie głowami, wzdychając nad własną dolą, albo bili się w piersi, ślubując sobie poprawę, a wszyscy słuchali z rozkoszą i ze łzami w oczach pieśni i muzyki, wedle starożytnego zwyczaju śpiewanych.

Tymczasem strażnicy na murach, którzy nie mogli być w kościele, chcąc sobie ową stratę wynagrodzić, poczęli także śpiewać i wkrótce rozległa się po całym okręgu murów kolęda:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolędować małemu...

Nazajutrz huk dział zagłuszył na nowo wszystkie inne odgłosy. Szańce, ile ich było, zadymiły naraz, ziemia drżała w posadach; leciały po staremu na dach kościelny ciężkie faskule i bomby i granaty i pochodnie w rury oprawne, lejące deszcz roztopionego ołowiu i pochodnie bez oprawy i sznury i szmaty. Nigdy huk nie był tak nieustający, nigdy dotąd taka fala ognia i żelaza nie zwaliła się na klasztor.

Obleżeni tak już byli przywykli do ognia, tak każdy wiedział, co mu czynić należy, że bez komendy obrona szła zwykłym trybem. Na ogień odpowiadano ogniem, na pocisk pociskiem, jeno wymierzonym trafniej, bo spokojniej.

Pod wieczór wyjechał Müller, aby przy ostatnich błyskach zachodzącego słońca skutki obejrzeć i wzrok jego padł na wieżę, rysującą się spokojnie na tle błękitu.

— Ten klasztor wieki wieków stać będzie! — zakrzyknął w uniesieniu.

Wieczorem Szwedzi zebrali się na naradę.

Zagał ją sam Müller.

— Szturm dzisiejszy — rzekł — żadnych nie przyniósł rezultatów. Prochy nasze się kończą; lud

zmarniał w połowie, reszta zniechęcona, klęski nie zwycięstwa wygląda. Zapasów już nie mamy, posiłków nie możemy się spodziewać.

— Co nam pozostaje? pytano.

— Hańba... odpowiedział ktoś w ciszy.

— Odebrałem rozkazy — rzekł generał — bym prędzej kończył lub odstąpił i szedł do Prus.

— Co nam pozostaje?...

Wszystkich oczy zwróciły się na Wrzeszczowicza, ten zaś rzekł:

— Ratować honor!

Śmiech krótki, urywany, podobniejszy do zgrzytu zębów, wydobył się z ust Müllera.

— Pan Wrzeszczowicz chce nas nauczyć, jak wskrzeszać zmarłych!

Wrzeszczowicz udał, że nie słyszy.

— Honor uratowali tylko polegli! — szeptano. Müller począł tracić zimną krew.

— I ten klasztor stoi tam jeszcze?! Ta Jasna Góra, ten kurnik??... I ja go nie zdobyłem?! I my odступujemy?... Czary li to? sen, czy mówię na jawie?...

— Ten klasztor, ta Jasna Góra stoi tam jeszcze—powtarzano—i my odступujemy... pobici!...

Nastała chwila milczenia; zdawało się, że wódz i jego podwładni znajdują jakąś dziką rozkosz w rozpamiętywaniu własnego upokorzenia i wstydu.

Wtem Wrzeszczowicz głos zabrał i mówił zwolna, dobitnie:

— Nieraz trafiało się — rzekł — we wszystkich wojnach, że obleżona forteca okupowała się oblegającym, a wówczas ci odchodzili jak zwycięzcy, bo kto składa okup, ten tem samem zwyciężonym się uznaje. Odstąpimy, ale z honorem.

Przyjęto tę radę. Wszystkie piersi lżej odechnęły. Rzeczywiście nie mogło już chodzić o nic innego, jak o wycofanie się z honorem.

Nazajutrz, w dzień św. Szczepana, oficerowie zgromadzili się co do jednego, aby wysłuchać odpowiedzi księdza Kordeckiego na list Müllera, który obejmował propozycję okupu, a był wysłany od rana.

Przyszło długo czekać.

Müller udawał wesołość, ale przymus był widoczny w jego twarzy. Nikt z oficerów nie mógł usiedzieć na miejscu. Wszystkich serca biły niepokojnie.

Tymczasem od strony fortecy doleciał ich huk wystrzałów.

— Coto? strzelają? — krzyknął Müller.

I zerwawszy się jak opętany, wybiegł z izby.

Wybiegli za nim wszyscy i poczęli nasłuchiwać. Odgłos regularnych salw dochodził istotnie z fortecy.

— Dla Boga! jakieto może mieć znaczenie?... Biją się w środku, czy co?!—wołał Müller — Nie rozumiem!

— Ja to waszej dostojności wytłomaczę—rzekł jeden z Polaków—dziś św. Szczepan, imieniny panów Zamoyskich, ojca i syna, na ich to cześć strzelają.

Wtem i okrzyki wiwatowe doszły z fortecy, a za nimi nowe salwy.

— Dość mają prochów! — rzekł Müller ponuro.—To nowa dla nas wskazówka.

Lecz los nie szczędził mu i drugiej, bardziej bolesnej wskazówki. Oto żołnierze szwedzcy tak już byli zniechęceni i na duchu upadli, że na odgłos strzałów fortecznych, oddziały pilnujące najbliższych szańców, opuściły je w popłochu.

Müller widział cały jeden regiment wybornych strzelców, który w zamieszaniu schronił się aż pod jego kwaterę; słyszał także, jak oficerowie powtarzali między sobą na ten widok:

— Czas, czas, odstąpić!

Lecz powoli uspokoiło się wszystko — jeno wrażenie przygnębiające zostało. Wódz, a za nim podkomendni, weszli znów do izby i czekali, czekali niecierpliwie; nawet nieruchoma aż dotąd twarz Wrzeszczowicza zdradzała niepokój.

Nakoniec brzęk ostróg rozległ się w sieni i wszedł trębacz, cały zarumieniony od mrozu, z wąsami okrytymi szronem oddechu.

— Odpowiedź z klasztoru! rzekł, oddając sporą paczkę, obwiniętą w chustkę kolorową, związaną sznurkiem.

Müllerowi drżały nieco ręce i wolał przeciąć sznurek puginałem, niż odwiązywać go zwolna. Kilkanaście par oczu utkwionych było nieruchomo w paczkę, oficerowie oddech wstrzymali.

Generał odwiązał jeden skład chusty, drugi, trzeci, i odwijał coraz spieszniej, aż wreszcie na stół wypadła paczka opłatków.

Wówczas pobladł i chociaż nikt nie potrzebował objaśnienia, co znajdowało się w chustce, rzekł:

— Opłatki!...

— Nic więcej? zapytał ktoś z tłumu.

— Nic więcej!—odpowiedział jak echo generał.

Nastała chwila milczenia, przerywana tylko głośnymi oddechami, czasem rozległ się zgrzyt zębów, czasem trzaśnięcie rapirem.

I znów milczenie.

Natomiast w nocy zapanował ruch w całym obozie. Ledwie światłaienne zgasły, słysząc było głosy komendy, przebieganie znacznych oddziałów jazdy, odgłos regularnych kroków piechoty, rżenie koni, skrzyp wozów, głuchy turkot dział, zgrzytanie żelastwa, dźwięk łańcuchów, szum, gwar i wrzenie.

— Czy nowy szturm na jutro? — mówili strażnicy przy bramach.

Lecz nie mogli nic widzieć, bo z wieczora niebo zawlokło się chmurami i począł padać śnieg obfity.

Gęste jego płaty przesłaniały świat. Około piątej w nocy wszystkie odgłosy ucichły, lecz śnieg padał coraz gęstszy. Na murach i blankach utworzył nowe mury i blanki. Pokrył cały klasztor i kościół, jak gdyby chciał go ukryć przed wzrokiem najeźdźców, otulić i ochronić przed ognistymi pociskami.

Nakoniec poczęło szarzyć i dzwonek ozwał się

już na jutrznią, gdy żołnierze, strażujący przy południowej bramie, usłyszeli parskanie konia.

Przed bramą stał chłop, cały zasypany śniegiem; za nim widać było na wjazdowej drodze niskie, małe sanki drewniane, zaprzężone w chudą i poszerszeniałą szkapę.

Chłop począł « zabijać » ręce, przestępować z nogi na nogę i wołać:

— Ludzie, a otwórzcie tam?

— Kto żywie? — zapytano z murów.

— Swój, ze Dzbowa!... Przywiozłem dobrodziejom zwierzynę.

— A jakże cię to Szwedy puścili?

— Jakie Szwedy?

— Którzy kościół oblegają.

— Oho! niema już nijakich Szwedów!

— Wszelki duch Boga chwali! Odeszli?

— Już za nimi i ślady zasypało!

W tem gromady łyczków i chłopów zaczerniały na drodze; jedni jechali konno, drudzy szli piechotą; były i niewiasty, a wszyscy zdaleka już wołać poczęli:

— Niemasz Szwedów! niemasz!

— Poszli do Wielunia!

— Otwórzta tam bramy! Ni człeka w obozie!

— Szwedzi odeszli! Szwedzi odeszli! — poczęto wołać na murach i wieść piorunem rozbiegła się w krąg.

Żołnierze dopadli dzwonów i uderzyli we wszystkie, jakby na alarm. Kto żył wypadał z cel, mieszkań, z kościoła.

Wieść brzmiała ciągle. Podwórzec zaroił się zakonnikami, szlachtą, żołnierstwem, niewiastami i dziećmi. Radośne okrzyki rozległy się dokoła. Jedni wypadali na mury, aby pusty obóz obejrzeć; inni wybuchali śmiechem lub szlochaniem.

Niektórzy nie chcieli wierzyć jeszcze; lecz napływały coraz nowe gromady tak chłopstwa jak i mieszczan.

Szli tedy z miasta Częstochowy i z wiosek okolicznych i z lasów poblizkich, gwarno, wesoło i ze śpiewaniem. Krzyżowały się coraz nowe wieści; każdy widział odchodzących Szwedów i opowiadał, dokąd odchodzili.

W kilka godzin później pełno było ludzi na pochyłości i na dole pod górą. Bramy klasztoru otwarły się szeroko, jak zwyczajnie bywały przed wojną otwarte; jeno wszystkie dzwony biły, biły,

biły... a owe głosy tryumfu leciały w dal i słyszała je cała Rzeczpospolita.

Śnieg zasypywał ciągle ślady Szwedów.

O południu dnia tego kościół był tak nabity, że jako na brukowanych ulicach miejskich kamień leży jeden obok drugiego, tak tam głowa była przy głowie. Sam ksiądz Kordecki miał mszę dziękczynną, a tłumom ludzkim zdawało się, że to biały anioł ją odprawia. I zdawało się także, że duszę wyśpiewa w tej wotywie lub że z dymami kadzi-deł uniesie się ku górze i rozwieje Bogu na chwałę.

Huk dział nie wstrząsał już murów, ani szyb w oknach, nie zasypywał kurzawą ludu, nie przerywał modlitw, ani tej dziękczynnej pieśni, którą wśród uniesienia i płaczu powszechnego zaintonował stary przeor:

„Te Deum laudamus!”



WZIĘCIE KAMIEŃCA.

(1672 r.)

Z «Pana Wołodyjowskiego» H. Sienkiewicza.

Do wieczora dnia 18-go sierpnia Kamieniec był tak zamknięty, że chyba jedne gołębie mogły się zeń wydostać.

Z wież i najwyższych miejsc wcale nie było można dojrzeć wolnego od płócien pola.

Ludziom zdało się, że śniegi spadły i całą okolicę pokryły.

Stał już tam chan z ordą i Doroszenko ze swymi Kozakami. Niedawno nadciągnęli Turcy, a z nimi sam cesarz.

Szli jak morze niezmierzone.

Piechota, janczary, spahy. Każdy pasza prowadził wojska swego paszali ku i więc szli miesz-

kańcy Europy, Azji, Afryki. Za nimi ciągnął tabor olbrzymi, z ładownymi wozami, zaprzężonymi w muły i bawoły. Mrowie to stubarwne, w różnych zbrojach i ubiorach, ciągnęło bez końca...

A jak samotna stoi latarnia wśród wzbierających fal morskich, tak pomiędzy niezmierzonymi tłumami wojsk nieprzyjacielskich wznosił się Kamieniec.

Zbroił się i do bohaterskiej gotował obrony, gdyż pomocy znikąd spodziewać się nie mógł.

Niestety, odsiecz była niepodobną, bo hetman Jan Sobieski, chociaż już wielki i znany, był naówczas bezsilnym. Bezsilnym był również król, Michał Korybut, bezsilną była Rzeczpospolita.

Jeden Kamieniec stał na straży chrześcijańskiego świata i wstrzymywał zwycięski pochód bisurmanów.

Dymy przesłoniły słońce, świat, i nie było widać fortyfikacyj tureckich, nie było widać Kamieńca, tylko jedną szarą, olbrzymią chmurę, pełną w środku gromów i łoskotu. Na całej długości szanców ryczały ciężkie działa tureckie, a odpowiadały im gromkim echem skały Smotrycza i stał się grzmot tak okropny i straszliwy, jakby w lamusie niebieskim zapaliły się wszystkie pioruny, na

składzie leżące i zlatywały razem ze sklepieniem obłoków na ziemię.

Miasto i zamki odpowiadały potężnie, lecz działa tureckie donośniejsze były od miejskich. Wkrótce śmierć w mieście poczęła kosić. Z obsługi przy hakownicach po dwóch i trzech ginęło. Ojcu Franciszkowi, który po szańcu chodząc, działa błogosławił, klin z pod armaty oberwał nos i część gęby; przy nim dwóch żydów, wielkich rezolutów, do rychtowania pomagających, upadło.

Lecz głównie biły działa w szaniec miejski. Pan Kazimierz Humiecki siedział tam, jako salamandra, w największym ogniu i dymie; połowa z sotni jego poległa, pozostali wszyscy niemal byli ranni. On sam zaniemówił i ogłuchł, lecz zmusił do milczenia baterię nieprzyjacielską, dopóty przynajmniej, dopóki na miejsce dawnych dział nie pozaciągano nowych.

Upłynął dzień, drugi, trzeci i straszliwe armaty nie ustawały ani na chwilę. U Turków zmieniali się puszkarze cztery razy na dobę, lecz w mieście jedni i ci sami musieli wytrwać bez snu, prawie bez jedzenia, nawpół nduszeni od dymu, wielu rannych od rozpryśniętych kamieni i złomków lawet.

Żołnierze wytrwali, ale w mieszczanach poczęło słabnąć serce. Trzeba ich było wkońcu nagać kijami do armat, przy których zresztą gęstym padali trupem. Na szczęście wieczorem i przez noc trzeciego dnia, z czwartku na piątek, główny impet zwrócił się na zamki.

Zasypano oba, a szczególnie stary, granatami z wielkich moździerzów, które jednak: „mało psowały, gdyż w ciemności każdy granat jest znaczny i człowiek przed nim łatwo uniknąć potrafi.“ Dopiero nad ranem, gdy ludzi ogarnęło tak wielkie znużenie, iż ze snu walili się z nóg, poczęli ginąć dość gęsto.

Potocki, pan generał podolski, raz wraz tam zaglądał i chodził wśród gradu kul, frasobliwy, ale na niebezpieczeństwo niebaczący.

— Mości pułkowniku, nie utrzymamy się tu,— rzekł, zbliżając się do pana Wołodyjowskiego.

— Póki poprzestają na strzelaniu — odrzekł mały rycerz — póty się utrzymamy, ale oni minami nas stąd wysadzą, bo kuja.

— Zali kuja istotnie? — pytał niespokojnie pan generał.

Na to Wołodyjowski:

— Siedemdziesiąt armat gra i grzmot jest prawie nieustający, ale przecie zdarzają się chwile cichości. Jak taka nadejdzie, niech jeno wasza dostojność dobrze nastawi ucha, a usłyszy.

Wówczas pan Potocki z Wołodyjowskim zbliżyli się do samego końca jednego z zamkowych wyczółków i poczęli słuchać. Po pewnym czasie uszy ich uловиły dość wyraźnie dźwiękliwe głosy kilofów, bijących w skalną ścianę.

— Kuja—rzekł pan Potocki.

— Kuja — powtórzył mały rycerz.

Poczem zamilkli. Wielki niepokój pojawił się w twarzy generała; podniósł ręce i skronie dłońmi przycisnął. Widząc to Wołodyjowski, rzekł:

— Zwyczajna to rzecz w każdym oblężeniu. Pod Zbarażem ryli pod nami dzień i noc.

Pan generał podniósł głowę.

— Co Wiśniowiecki na to robił?

— Przenosiliśmy się z obszerniejszych wałów w coraz ciaśniejsze.

— A nam co czynić przystoi?

— Nam należy działa, a z nimi co można, zabrać i do starego zamku się przenieść, bo stary na takich skałach fundowany, że i minami ich nie roz-

sadzą. Zawszem tak mniemał, że nowy posłuży tylko na to, żeby dać pierwszy wstręt nieprzyjacielowi, potem trzeba nam go będzie samym od czoła prochami wysadzić i prawdziwa obrona zacznie się dopiero w starym.

Nastąpiła chwila milczenia i generał pochylił znów stroskaną głowę.

— A jeśli nam i ze starego zamku przyjdzie ustąpić? Gdzie ustąpimy?—pytał złamanym głosem.

Na to wyprostował się mały rycerzyk, ruszył wąsikami i ukazawszy palcem na ziemię, powiedział:

— Ja jeno tam!—

Tak rzekł dzielny rycerz, gdyż zaprzysiągł, że albo wyjdzie stąd zwycięzcą, albo zagrzebie się w gruzach tej fortecy.

Nakoniec nastał dzień 26-ty sierpnia, który miał się stać przeważnym w dziejach onej wojny.

W zamku oczekiwano jakiegoś wielkiego wysiłku ze strony tureckiej.

Jakoż o wschodzie słońca rozległo się znów kowanie po lewej stronie zamku, tak głośnie i silne, jak nigdy dotąd. Widocznie Turcy wiercili z po-

ściechem nową minę, najpotężniejszą ze wszystkich. Wielkie oddziały wojsk strzegły opodal tej roboty. Na szanćcach mrowie poczęło się ruszać.

Janczarowie pozaciągali nowe działa; prócz tego nieprzeliczone ich tłumy pokryły nowy zamek—chroniąc się w jego fosach i gruzach, aby być w gotowości do ręcznego ataku.

Zamek pierwszy rozpoczął armatnią rozmowę i tak skutecznie, że chwilowy popłoch powstał w szanćcach. Lecz bimbaszowie sprawili napowrót w mgnieniu oka janczarów, jednocześnie ozwały się wszystkie tureckie działa. Leciały kule, kartacze, granaty; leciał na głowy broniących się gruz, cegły, tynk; dym mieszał się z kurzawą, żar ognia z żarem słonecznym. Piersiom brakło powietrza, oczom widoku; huk armat, pękanie granatów, zgrzyt kul po kamieniach, wrzaski tureckie, okrzyki obrońców otworzyły jedną straszliwą kapełę, której do wtóru brzmiały echa skał. Zasypywano pociskami zamek, zasypywano miasto, wszystkie bramy, wszystkie baszty. Lecz zamek bronił się zaciekle, piorunami na pioruny odpowiadał, trząsał się, świecił, dymił, huczał, ział ogniem i śmiercią i zniszczeniem, jakby go jowiszowy gniew uniósł, jakby się zapa-

miętał wśród płomieni, jakby chciał zgłuszyć tureckie gromy i w ziemię się zapaść lub zwyciężyć.

Wśród zamku, wśród lecących kul, ognia i kurzawy, i dymu, mały rycerz rzucał się od dział do dział, od jednych murów do drugich, od rogu do rogu, sam do niszczącego płomienia podobny. Zdawał się dwoić i troić; był wszędzie, zachęcał, krzyczał; gdzie padł kanonier, tam on go zastępował—i wlawszy otuchę w piersi, znów biegł gdzieindziej. Zapał jego udzielił się żołnierzom. Uwierzyli, iż to ostatni szturm, po którym spokój i sława nastąpi—wiara w zwycięstwo przepełniała ich piersi, serca stały się twarde i zaciekle, szął bojowy ogarnął umysły. Okrzyki i wyzywania wyrywały się co chwila z ich gardzieli. Niektórych chwyciła taka zaciekłość, iż darli się za mury, by z blizka szepnąć się z janczarami.

Owi dwakroć pod zasłoną dymów poszli zbitą masą do wyłomu i dwakroć, wymościwszy ciałami ziemię, cofnęli się w popłochu. O południu pchnięto im w pomoc masy pospolitego ruszenia, lecz mniej ćwiczone tłumy, lubo pobudzane z tyłu włóczyniami, wyły tylko okropnymi głosy i nie chciały iść przeciw zamkowi. Lada chwila groził powszechny,

graniczący z obłędem popłoch, więc wkońcu ludzi cofnięto i tylko działa po staremu pracowały bez wytchnienia, miotając grom za gromem, błyskawicę za błyskawicą.

Tak upływały całe godziny. Słońce już zeszło z zenitu i spoglądało na ową walkę bezpromienne, czerwone, zadymione. Około trzeciej z południa huk dział doszedł do takiej potęgi, iż najgłośniejszym krzyczanym w ucho słów, nie można było w murach dosłyszeć. Powietrze stało się w zamku gorące, jak w piecu. Woda, którą polewano rozpalone działa, buchała z nich parą, mieszając się z dymem i przesłaniając świat.

Zaraz po trzeciej rozbito dwie największe kolubryny tureckie. Moździerz, stojący obok nich, pękł, uderzony faskulą, w kilka pacierzy później. Kanonierowie ginęli jak muchy. Z każdą chwilą stawało się widoczniejszem, że ów niepohamowany zamek bierze górę w walce, że przekrzyczy tureckie grzmoty i że on wypowie ostatnie słowo... zwycięstwa.

Ogień turecki począł zwolna słabnąć.

— Koniec będzie! — krzyknął z całych sił Wołodyjowski w ucho przyjaciela, chcąc, aby go ten wśród huku dosłyszał.

— Do jutra, czy na dłużej?

— Może na dłużej. Dziś przy nas wiktorya!

— I przez nas!

Ogień turecki słabł jeszcze bardziej.

Wołodujowski skoczył między kanonierów.

— Ognia chłopcy! — krzyknął — póki ostatnie działo tureckie grać nie przestanie! Na chwałę Bogu i Przenajświętszej Pannie! na chwałę Rzeczypospolitej!

Żołnierze zaś widząc, że i ten szturm ma się już ku końcowi, ozwali się gromkim radośnym okrzykiem i z tym większym zapałem poczęli walić ku szansom tureckim.

Nagle stało się coś dziwnego. Oto wszystkie działa tureckie zamilkły od razu, jakby kto nożem uciął. Zamilkł również grzechot janczarek w nowym zamku. Stary zamek grzmiał jeszcze czas jakiś, lecz wkońcu poczęli oficerowie spoglądać po sobie i pytać się wzajemnie.

— Co to jest? co się stało?

— Chyba mina jest pod nami, którą zaraz podpalą!... odczuwał się jeden z oficerów.

Wołodujowski przeszył mówiącego groźnym wzrokiem.

Mina niegotowa, a choćby była gotowa, wyleci od niej tylko lewa strona zamku—i z gruzów będziemy się bronili, póki tchu w nozdrzach — rozumiesz waść?

Poczem nastąpiła cisza. Nie zmącił jej ani jeden wystrzał, ni z miasta, ni z szanieców. Po grzmotach, od których trzęsły się mury i ziemia, było w tej ciszy coś uroczystego, ale zarazem i złowrogięgo. Oczy wszystkich wyteżały się z szanieców, lecz z za chmur dymu nic nie było widać.

Nagle od lewej strony rozległy się miarowe uderzenia kilofów.

— Mówiłem, że minę kują dopiero! — ozwał się Wołodyjowski. — Wachmistrzu! — zwrócił się do starego wiarusa — weźmiesz dwudziestu ludzi i wyjrzysz mi na nowy zamek.

Nastąpiło znowu milczenie, przerywane jękami rannych lub odgłosem kilofów.

Czekano dość długo, wreszcie wachmistrz zjawił się z powrotem.

— Panie komendancie—rzekł— w nowym zam-

Lecz dymy zwiewane powiewem, rzedły i wreszcie opona ich przerwała się nad miastem. W tej samej chwili jakiś głos okropny i przerażony począł krzyczeć z baszty:

— Nad bramami białe chorągwie! Poddajem się!

Usłyszawszy to żołnierze, oficerowie, zwrócili się ku miastu. Straszliwe zdumienie odbiło się na twarzach, słowa zamarły wszystkim na ustach i przez smugi dymu patrzyli ku miastu.

A w mieście, na bramie Ruskiej i Lackiej, powiewały istotnie chorągwie, dalej widać było jeszcze jedną na baszcie Batorego.

Wówczas twarz małego rycerza stała się tak białą, jak te chorągwie, kolebiące się na wietrze.

— Widzisz?—szepnął do przyjaciela, z którym przysięgał umrzeć lub zwyciężyć.

Jemu także twarz pobiadła.

— Widzę — rzekł.

I czas jakiś patrzyli sobie w oczy, mówiąc sobie wszystko, co mogli powiedzieć tacy żołnierze, bez plamy i bojaźni, którzy nigdy w życiu nie złamali słowa, a którzy przed ołtarzem przysięgli wpierw zginąć, niżby mieli zamek poddać. I oto

teraz, po takiej obronie, po takiej walce, po odbitym szturmie i po zwycięstwie, kazano im złamać przysięgę, wydać zamek i żyć!

Jak niedawno złowrogie kule przelatywały nad zamkiem, tak teraz złowrogie myśli przelatywały im tłumem przez głowę. I żal ściszał im serca poprostu bezmierny, żal życia i szczęścia, więc spoglądali na się jak błędni, jak martwi, a czasem zwracali wzrok pełen rozpaczki ku miastu; jakby się chcąc przekonać, czy ich oczy nie zwodzą i czy istotnie godzina wybiła.

A tymczasem od strony miasta zatętniały kopyta końskie i po chwili wpadł rękodajny młodzian pana generała podolskiego.

— Rozkaz do komendanta! — krzyknął, osadzając bachmata.

Wołodyjowski wziął rozkaz, przeczytał go w milczeniu i po chwili, wśród grobowej ciszy, ozwał się do oficerów:

— Mości panowie! Komisarze przejechali czołnem rzekę i już udali się do Dłużka dla podpisania ugody. Za chwilę będą tedy wracać... Do wieczora mamy wyprowadzić wojsko z zamku, a białą chorągiew zatknąć, niemieszkając...

Nikt nie ozwał się słowem. Słuchać było tylko szybkie oddechy i sapanie.

Tu i ówdzie rozległy się słowa komendy. Żołnierze poczęli zbierać się w szeregi i brać na ramię broń. Dźwięk muszkietów i miarowe ich stąpanie budziły echa w milczącym zamku.

— Czas?—zapytał przyjaciel Wołodyjowskiego.

— Czekaj na komisarzy, dowiemy się kondycji... Wreszcie ja sam zejść, by lont podpalić.

— Nie, ja zejść, ja lepiej lochy znam, i wiem, gdzie co jest. Dalszą rozmowę przerwały im głosy wołające:

— Komisarze wracają! komisarze wracają!

Jakoż po jakimś czasie trzech nieszczęśliwi wysłannicy ukazali się na zamku. Szli ponuro, z spuszczanymi głowami; na grzbietach ich mieniły się kaftany ze złotogłowiu, które w darze od wezyra dostali.

Wołodyjowski czekał ich, oparty o ciepłe jeszcze i dymiące działo, skierowane ku Dłużkowi. Wszyscy powitali ich w milczeniu, a on spytał:

— Jakie kondycje?

— Miasto nie będzie rabowane, mieszkańcom życie i mienie zapewnione. Każdy, kto nie zechce

zostać, ma prawo wyjść i udać się, gdzie mu się będzie podobało.

— A Kamieniec?

Komisarze pospuszczali głowy.

— Na sułtana... po wieki wieków!...

Poczem komisarze odeszli.

Wołodujowski siadł na konia i czuwał nad wymarszem. Zamek opróżniał się, ale marudnie, z przyczyny zawadzających gruzów i złomów.

Wreszcie przyjaciel zbliżył się do małego rycerza.

— Schodzę!—rzekł zaciskając zęby.

— Idź, jeno zwlecz, póki wojsko nie wyjdzie...
Idź...

Tu wzięli się w ramiona i przez pewien czas tak trwali. Oczy obudwom błyszczały nadzwyczajnym światłem... Wreszcie druh skoczył w kierunku lochów...

Wołodujowski zaś zdjął hełm z głowy: chwilę spoglądał jeszcze na ruinę, na to pole chwały swojej, na gruzy, trupy, odłamy murów, na wał i na działa, następnie podniósłszy oczy w górę, począł się modlić...

W tej chwili zakołysały się bastiony, huk stra-

szliwy targnął powietrzem : blanki, wieże, ściany, konie, działa, żywi i umarli, masy ziemi—wszystko to porwane w górę płomieniem, pomieszane, zbite jakby w jeden straszliwy ładunek, wyleciało w powietrze.

Tak zginął Wołodyjowski, Hektor Kamieniecki, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej.



IMIENINY MICKIEWICZA W PARYŻU.

Jedną z najpiękniejszych chwil w życiu Mickiewicza była uroczysta biesiada na cześć jego urządzona przez rodaków-przyjaciół w Paryżu dnia 24 grudnia 1840 roku.

Dumni ze sławy wieszczą. przejęci dla niego najserdeczniejszem uczuciem, przyjaciele i znajomi pragnęli mu okazać swą życzliwość, zbierając się w dniu imienin dla złożenia mu serdecznych życzeń i przepędzenia razem na obczyźnie chwil dla każdego drogich.

Osób zaproszono około czterdziestu. Mickiewicz przybył z żoną, kilka pań innych należało też do towarzystwa, w którym znalazł się i Juliusz Słowacki, muzyk Stanisław Szczepanowski, Józef Kaszyc, marszałek powiatu nowogródzkiego, tak żywo

przypominający wieszczowi całą przeszłość swą godnością, Stanisław Barzykowski, Ludwik Nabelak, Mierosławski i inni. Wśród tylu twarzy swojskich paru cudzoziemców nie mogło zmącić ogólnej harmonii. ani ochłodzić rzewnego nastroju. Gospodarz zresztą postarał się o to, aby każdym szczegółem miłe wywołać wrażenie,—więc łamanie opłatkiem, potrawy litewskie, miód stary zamiast wina, wszystko po staremu.

Wesołość jednakże panowała przy stole, swobodna rozmowa, dowcip i żarty. Niektórzy z tego powodu czuli się zawiedzeni, spodziewano się czegoś więcej: mów wzruszających, improwizacyi, natchnienia, a tymczasem poeta był dziś człowiekiem tylko, swobodnym i wesołym.

Przy drugim końcu stołu uwagę zwracała twarz inna, smagławo blada, nieruchoma, zagadkowa, ożywiona parą wielkich czarnych oczu, to strzelających ogniem, to pełnych dziwnego, nieskończonego smutku. Na wysokie czoło włos czarny, krótki, spadał dość niedbale, usta zacięte drgały lekko, szybko.

Kiedy inni się śmieli, szeptali półgłosem, on milczał, do sąsiadów nie przemówił słowa i tylko

czasem padał na twarz bladą odbłask wewnętrznych ogni, czasem ręką drobną, jak u kobiety, przyglądał was czarny, krótki was młodzieniaszka.

Był to Juliusz Słowacki. Siedział daleko od wieszca, który stanowił z nim kontrast zupełny. Wyniosłe czoło, wspaniałe sklezione, włos jasny jak lwia grzywa, z czoła odrzucony, pogodny połysk siwych i głębokich oczu znamionowały potęgę i dobroć. Przed tym upadłbyś chętnie na kolana, pewny, że cię do serca bratniego przygarnie, tamten pociągał grozą tajemniczą i onieśmielał razem.

Pod koniec wieczery zaczęły się toasty. Włoch Ottawi pierwszy wzniósł kielich na cześć wieszca-katolika, przypomniał pobyt Mickiewicza w Rzymie i siłą słowa przeniósł go w te czasy, symbolicznie tłumacząc ich znaczenie.

Mickiewicz był wzruszony. W tej chwili artysta-muzyk Szczepanowski ujął gitarę i uderzył w struny...

Dopiero gdy muzyk grę swoją zakończył, wieszcz twarz odsłonił pogodną jak słońce, w oczach grały mu blaski, pierwszy w dłoń uderzył i krzyknął: brawo!

Huknęły oklaski, zabrzmiały słowa podzięk,

uznania i nagle zapanowało milczenie... « Anioł przeleciał ».

Wtem na końcu stołu podniósł się Juliusz; twarz miał marmurową, a w oczach płomień. Z ust jego popłynął potok słów dźwięcznych w najtrudniejszym rymie, niby lawa ognista. Nie zaczął od hołdu. — o sobie mówił. Odmalował ogień, który mu duszę pali, oblókł w kształty żywe wszystkie cierpienia i pragnienia swoje i gorycz chłodu, który go otaczał i brak zachęty, miłości, uznania.

„Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj... łąk pelen kwietnych»,...

Dopiero zaznaczywszy tak wyraźnie, że uważa się za poetę i wieszczą narodu, określiwszy wymownie swoje stanowisko i wartość własną, zwrócił się do Mickiewicza i hołd mu złożył z pokorą i dumą.

«Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyśka;
W ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska,—
Tak mówiąc, ja—syn pieśni, syn królewski,
Padłem...»

Słowacki mówił wolno, wyrazy z trudnością z ust mu się wydobywały. a wspaniałe jego przenośnie i język barwny, z pereł i dyamentów, olśniewały jak błyskawice, lecz mało były zrozumiane. Gdy głos mu zadrżał, dech zaparł się w piersi, pot wystąpił na czoło, sąsiad poety Szembek podsunął mu szklanę z wodą. Juliusz podziękował skinieniem i usiadł wyczerpany widocznie.

Wszyscy milczeli w zdumieniu, jak ludzie, przed którymi ktoś nagle rozsypał gwiazd roje.

— Co to? pytano głośno i oczami.

Lecz Juliusz powstał znowu i innym już tonem, swobodnie i z humorem określił stosunek swój do Adama: Ty, coś w Tadeuszu tak pięknie odmalował grzybobranie, naśladowaj wojskiego, który nie pogardzał i muchomorem. Tak i ty względem braci po piórze postępuj».

Teraz go zrozumiano, dano rzęsiste oklaski, lecz te umilkły prędko, gdyż powstał Mickiewicz. Na jego widok wszystkich przejął dreszcz wzruszenia i nic dziwnego: wyglądał jak prorok, jak lew zbudzony.

Jeden z naocznych świadków, Eustachy Januskiewicz, tak opisuje tę chwilę:

«Twarz jego przybrała anielską postać; dziwna, niepojęta światłość otoczyła jego skronie; powstałi wszyscy, jakby na zjawienie się bóstwa, przychodzącego odwiedzić śmiertelnych. A on — wypuścił z ust swych rzekę słów, najcudniejszych myśli i rymów, z taką siłą, gwałtownością i mocą, a razem z takim wdziękiem, że im nic równego nie było. Tak pęd był niewstrzymany, że oddech tamował. Staliśmy w osłupieniu, — milczenie było grobowe.»

Mickiewicz rozpoczął od odpowiedzi Słowackiemu, dowodząc, że przyczyną niepowodzenia jego poezyi jest brak miłości, nazwał tę poezję cudnie piękną świątynią, lecz w której bóstwa niema. I wzywał poetę, aby swą dumę u stóp położył ołtarza, a na nim nowe rozpalił ognisko. Potem mówił o sobie, tłumacząc potęgę miłości i wiary. Za przykład podawał objęte przez siebie niedawno wykłady literatury w kolegium francuskim. Niechętni i przyjaciele za zuchwalstwo mu poczytywali, iż chce w obcym wykładać języku, bo nie wiedzieli, że Bóg w sercu jego złożył nieśmiertelne słowa prawdy, które on mocen na wszystkie tłumaczyć języki.

«Ja myśli nie dobieram i rymów nie składam;
Takem wszystko napisał, jak dziś do was gadam».

Skończył prześlicznym wierszem o powołaniu
poety:

«Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga:
Tutaj (wskazał na serce) szukać natchnienia—
I dążyć—do Boga!»

Improwizacya trwała więcej niż pół godziny,—
słuchano jej w tak dziwnem zachwyceniu, że ni-
komu nie przyszło na myśl notować słowa wie-
szcza. Dopiero gdy poeta umilkł, podniósł się wielki
okrzyk uwielbienia. Rzucano się na kolana, męż-
czyźni płakali jak dzieci. Stan. Ropelewski zem-
dłał, kasztelana Ludwika Platera niepodobna było
docucić, — mdlał co chwila i musiano odwieźć go
do domu. Jakieś uczucie serdecznej miłości ogar-
nęło wszystkie serca, zespoliło takim węzłem ser-
decznej jedności, że mało znani sobie ludzie padali
wzajemnie w objęcia, zalewali się łzami. Chorzy
mówili, że są uzdrowieni, artyści czuli w sobie siłę
twórczą, nikt nie był w stanie zdać sobie sprawy
z tego, co się stało w ich oczach.

Stefan Witwicki, poeta, pisze o tem w jednym
z listów do Bohdana Zaleskiego:

«Ta improwizacya, to było coś bardzo wielkiego, dziwnego, nadprzyrodzonego. Wszyscy są tem jak pijani. Twarz Adama miała być w ten moment jak anielska, spokojna, piękna, jasna. Dość powiedzieć, że Kaszyc płakał potem całą noc, a Szadurski przysięga, że gdyby mu wtedy Adam kazał skoczyć z najwyższej wieży, skoczyłby natychmiast. Barzykowski także płakał, całował Januskiewicza w ręce, dziękując, że go zaprosił. Plater Wład. szlochał. Mikulski Izydor utrzymuje, że widział nad głową Adama światłość. Jedni mówią, że to trwało pół godziny, a drudzy, że pięć minut».

Przez dni kilka uczestnicy tej biesiady bez łez spojrzeć na siebie nie mogli.

Mickiewicz ze Słowackim, tak długo stroniący od siebie, uścisnęli się наконец jak bracia i wzięwszy się pod ręce, rozmawiali długo. Można się było spodziewać, że wzajemne niechęci stopniały na zawsze, że słońce zgody, jedności, miłości, ręką wielkiego mistrza zapalone, nie zgaśnie więcej.

Na pamiątkę dnia tego przyjaciele i obecni ofiarowali dnia 1 stycznia Mickiewiczowi puchar kosztowny. Podstawę jego stanowiły trzy gracye, —

trzymały one czarę, której pokrywę zdobił lew
dzierżący tarczę z napisem:

«Adamowi Mickiewiczowi na pamiątkę d. 25
grudnia 1840 roku».

Oprócz tego na pokrywie były inne tarcze z na-
pisami: Grażyna, Pan Tadeusz, Walenrod, Dziady,
Sonety, Księgi pielgrzymstwa, Ballady. Katedra Sło-
wiańska. Wkoło wreszcie był dwuwiersz, wyjęty
z ody Lelewela:

«Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki.
Między teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki.

(Podług Chmielowskiego i Maleckiego).

• ♦ • ♦ • ♦ • —

1898